

The Project Gutenberg eBook of Romeo i Julia

This ebook is for the use of anyone anywhere in the United States and most other parts of the world at no cost and with almost no restrictions whatsoever. You may copy it, give it away or re-use it under the terms of the Project Gutenberg License included with this ebook or online at www.gutenberg.org. If you are not located in the United States, you'll have to check the laws of the country where you are located before using this eBook.

Title: Romeo i Julia

Author: William Shakespeare

Translator: Józef Paszkowski

Release date: October 27, 2008 [eBook #27062]

Language: Polish

Credits: Produced by Jimmy O'Regan (This file was produced from images generously made available by CBN Polona <http://www.polona.pl>)

*** START OF THE PROJECT GUTENBERG EBOOK ROMEO I JULIA ***

BIBLIOTECZKA UNIwersyTETÓw LUDOWYCH I MŁODZIEŻY SZKOLNEJ—173

WILIAM SZEKSPIR

ROMEO I JULIA

TRAGEDYA W 5 AKTACH

J. PASZKOWSKIEGO.

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA—LUBLIN—ŁÓDŹ
KRAKÓW—G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK—THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

KRAKÓW.—DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI
1913

[2]

Osoby.

Prolog.

- Akt 1.** [Scena 1](#) Plac publiczny.
[Scena 2](#) Ulica.
[Scena 3](#) Pokój w domu Kapuletów.
[Scena 4](#) Ulica.
[Scena 5](#) Sala w domu Kapuletów.

Chór.

- Akt 2.** [Scena 1](#) Pusty plac, przytykający do ogrodu Kapuletów.
[Scena 2](#) Ogród Kapuletów.
[Scena 3](#) Cela Ojca Laurentego.
[Scena 4](#) Ulica.
[Scena 5](#) Ogród Kapuletów.
[Scena 6](#) Cela Ojca Laurentego.

- Akt 3.** [Scena 1](#) Plac publiczny.
[Scena 2](#) Pokój w domu Kapuletów.
[Scena 3](#) Cela Ojca Laurentego.
[Scena 4](#) Pokój w domu Kapuletów.
[Scena 5](#) Pokój Julii.

- Akt 4.** [Scena 1](#) Cela Ojca Laurentego.
[Scena 2](#) Pokój w domu Kapuletów.
[Scena 3](#) Pokój Julii.
[Scena 4](#) Sala w domu Kapuletów.

[Scena 5](#) Pokój Julii. Julia w łóżku.

Akt 5. [Scena 1](#) Mantua. Ulica.

[Scena 2](#) Cela O. Laurentego.

[Scena 3](#) Cmentarz; na nim grobowiec rodziny Kapuletów.

ROMEO I JULIA

[3]

PRZEKŁAD

J. PASZKOWSKIEGO.

OSOBY:

[4]

Eskalus, księżę panujący w Weronie.

Parys, młody Weroneńczyk, szlachetnego rodu, krewny księcia.

Monteki, } naczelnicy dwóch domów nieprzyjaznych sobie.

Kapulet, }

Starzec, stryjeczny brat Kapuleta.

Romeo, syn Montekiego.

Merkucio, krewny księcia, } przyjaciele Romea.

Benwolio, synowiec Montekiego, }

Tybalt, krewny Pani Kapulet.

Laurenty, Ojciec Franciszkanin.

Jan, brat z tegoż zgromadzenia.

Baltazer, służący Romea.

Samson, } służy Kapuleta.

Grzegorz, }

Abraham, służący Montekiego.

Aptekarz.

Trzech muzykantów.

Paż Parysa.

Piotr.

Dowódca warty.

Pani Montekio, małżonka Montekiego.

Pani Kapulet, małżonka Kapuleta.

Julia, córka Kapuletów.

Marta, mamka Julii.

Obywatele weroneńscy, różne osoby płci obojej, liczące się do przyjaciół obu domów, maski, straż wojskowa i inne osoby.

Rzecz odbywa się przez większą część sztuki w Weronie, przez część piątego aktu w Mantui.

PROLOG

[5]

Dwa rody, jasne jednak i sławne,
Tam, gdzie się rzecz ta rozgrywa, w Weronie,
Do nowej zbrodni pchają złości dawne,
Pamięć szlachetną krwią szlachetne dłonie.

Z łez tych dwu wrogów wzięło bowiem życie,
Pod najstrazliwszą z gwiazd, kochanków dwoje;
Po pełnym przygód nieszczęśliwych bycie,
Śmierć ich stłumiła rodzicielskie boje.

Tej ich miłości przebieg zbyt bolesny,
I jak się ojców nienawiść nie zmienia,
Aż jżakończy dzieci zgon przedwczesny,

Dwugodzinnego treścią przedstawienia,
Które otoczcie cierpliwymi względy,
Jest w nim co złego, my usuniem błędy...

[6]

ROMEO I JULIA

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Plac publiczny.

(Wchodzą: Samson i Grzegorz, uzbrojeni w tarcze i miecze).

Samson. Dalipan, Grzegorzu, nie będziem darli pierza.

Grzegorz. Ma się rozumieć, bobyśmy byli zdziercami.

Samson. Ale będziemy darli koty, jak z nami zadrą.

Grzegorz. Kto zechce zadrzeć z nami, będzie musiał zadrzeć.

Samson. Mam zwyczaj drapać zaraz, jak mię kto rozrucha.

Grzegorz. Tak, ale nie zaraz zwykleś się dać rozruchać.

Samson. Te psy z domu Montekich rozruchać mię mogą bardzo łatwo.

Grzegorz. Rozruchać się tyle znaczy, co ruszyć się z miejsca; być walecznym, jest to stać nieporuszenie: pojmuję więc, że skutkiem rozruchania się twego będzie - drapanie.

Samson. Te psy z domu Montekich rozruchać mię mogą tylko do stania na miejscu. Będę jak mur dla każdego mężczyzny i dla każdej kobiety z tego domu.

Grzegorz. To właśnie pokazuje twoją słabą stronę: mur dla nikogo niestraszny i tylko słabi go się trzymają.

Samson. Prawda, dlatego to kobiety, jako najsłabsze, tulą się zawsze do muru. Ja też odtrącę od muru ludzi Montekich, a kobiety Montekich przypnę do muru.

Grzegorz. Spór jest tylko między naszymi panami i między nami, ich ludźmi.

[7]

Samson. Mniejsza mi o to: będę nieubłagany. Pobiwszy ludzi, wywrę wściekłość na kobiety: rzeź między nimi sprawię.

Grzegorz. Rzeź kobiet chcesz przedsiębrać?

Samson. Nieinaczej: wtłoczę miecz w każdą po kolei. Wiadomo, że się do lwów liczę.

Grzegorz. Tem lepiej, że się liczysz do zwierząt; bo gdybyś się liczył do ryb, to byłbyś pewnie sztokfiszem. Weźno się za instrument, bo oto nadchodzi dwóch domowników Montekiego.

(Wchodzą: Abraham i Baltazar).

Samson. Mój giwer już dobyte: zaczep ich, ja stanę z tyłu.

Grzegorz. Gwoli drapania?

Samson. Nie bój się.

Grzegorz. Jabym się miał bać z twojej przyczyny?

Samson. Miejmy prawo za sobą, niech oni zaczną.

Grzegorz. Marsa im nastawię, przechodząc; niech go sobie, jak chcą, tłómaczą.

Samson. Nie jak chcą, ale jak śmia. Ja im gębę wykrzywię; hańba im, jeśli to ścierpią.

Abraham. Skrzywiłeś się na nas, mości panie?

Samson. Nieinaczaj, skrzywiłem się.

Abraham. Czy na nas się skrzywiłeś, mości panie?

Samson *(do Grzegorza)*. Będziemyż mieli prawo za sobą, jak powiem: tak jest?

Grzegorz. Nie.

Samson *(do Abrahama)*. Nie, mości panie; nie skrzywiłem się na was, tylko skrzywiłem się tak sobie.

Grzegorz *(do Abrahama)*. Zaczepki waść szukasz?

Abraham. Zaczepki? nie.

Samson. Jeżeli jej szukasz, to jestem na waścine usługi. Mój pan tak dobry, jak i wasz.

Abraham. Nie lepszy.

Samson. Niech i tak będzie.

(Benwolio ukazuje się w głębi).

Grzegorz *(na stronie do Samsona)*. Powiedz: lepszy. Oto nadchodzi jeden z krewnych mego pana.

Samson. Nieinaczaj; powiedz: lepszy.

Abraham. Kłamiesz.

Samson. Dobądźcie mieczów, jeśli macie serca. Grzegorzu, pamiętaj o swoim pchnięciu. *(Biją się)*.

Benwolio. Odstąpcie, głupcy; schowajcie miecze do pochew! Sami nie wiecie, co robicie.

[8]

(Rozdziela ich swoim mieczem).

(Wchodzi Tybalt).

Tybalt. Cóż to? krzyżujesz oręż z parobkami? Do mnie, Benwolio! pilnuj swego życia.

Benwolio. Przywracam tylko pokój. Włóż miecz nazad Albo wraz ze mną rozdziel nim tych ludzi.

Tybalt. Z gołym orężem pokój? Nienawidzę Tego wyrazu, tak jak nienawidzę Szatana, wszystkich Montekich i ciebie. Broń się, nikkzemny tchórze.

(Walczą).

(Nadchodzi kilku przyjaciół obu partyi i mieszają się do zwady; wkrótce potem wchodzi mieszczanie z pałkami).

Pierwszy obywatel. Hola! berdyszów! pałek! Dalej po nich! Precz z Montekimi, precz z Kapuletami!

(Wchodzi: Kapulet i pani Kapulet).

Kapulet. Co to za hałas? Podajcie mi długi Mój miecz! hej!

Pani Kapulet. Raczej kulę: co ci z miecza?

Kapulet. Miecz, mówię! Stary Monteki nadchodzi I szydnie swoją klingą mi urąga.

(Wchodzi: Monteki i pani Monteki).

Monteki. Ha! nędzny Kapulecie! *(Do żony)*. Puść mię, pani.

Pani Monteki. Nie puszcę cię na krok, gdy wróg przed tobą.

(Wchodzi Księżę z orszakiem).

Księżę. Zapamiętali, niesforni poddani, Bezczęściciele bratniej stali! Cóż to,

Czy nie słyszycie? Ludzie czy zwierzęta,
Co wściekłych swoich gniewów żar gasicie
W własnych żył swoich źródle purpurowym:
Pod karą tortur, wypuście natychmiast
Z zawziętych dłoni tę broń buntowniczą
I posłuchajcie tego, co niniejszym
Wasz rozjątrzony książe postanawia.
Domowe starcia, z marnych słów zrodzone
Przez was, Monteki oraz Kapulecie,
Trzykroć już spokój miasta zakłóciły,
Tak, że poważni wiekiem i zasługą
Obywatele werońscy musieli
Porzucić swoje wygodne przybory,
I w stare dłonie stare ująć miecze,
By zardzewiałym ostrzem zardzewiały
Niechęci wasze przecinać. Jeżeli
Wznieciecie jeszcze kiedyś waśń podobną,
Zamęt pokoju opłacicie życiem.
A teraz wszyscy ustąpcie niezwłocznie.
Ty, Kapulecie, pójdziesz ze mną razem;
Ty zaś, Monteki, przyjdiesz po południu
Na ratusz, gdzie ci dokładnie w tym względzie
Dalsza ma wola oznajmiona będzie.
Jeszcze raz, wzywam wszystkich tu obecnych
Pod karą śmierci, aby się rozeszli.

[9]

*(Książe z orszakiem wychodzi; podobnie Kapulet, pani Kapulet,
Tybalt, obywatele i słudzy).*

Monteki. Kto wszczął tę nową zwadę? Mów, synowcze,
Byłeś tu wtedy, gdy się to zaczęło?

Benwolio. Nieprzyjaciela naszego pacholcy
I wasi już się bili, kiedym nadszedł;
Dobylem broni, aby ich rozdzielić:
Wtem wpadł szalony Tybalt z gołym mieczem,
I harde zionąc mi w uszy wyzwanie,
Jął się wywijać nim i siec powietrze,
Które świszczało tylko, szydząc z marnych
Jego zamachów. Gdyśmy tak ze sobą
Cięcia i pchnięcia zamieniali, zbiegł się
Większy tłum ludzi, z obu stron walczone,
Aż książe nadszedł i rozdzielił wszystkich.

Pani Monteki. Lecz gdzież Romeo? Widziałeś go dzisiaj?
Jakże się cieszę, że nie był w tem starciu.

Benwolio. Godziną pierwej, nim wspaniałe słońce
W złotych się oknach wschodu ukazało,
Troski wyгнаły mię z dala od domu
W sykomorowy ów gaj, co się ciągnie
Ku południowi od naszego miasta.
Tam, już tak rano, syn wasz się przechadzał.
Ledwie go ujrzał, pobiegłem ku niemu;
Lecz on, spostrzegłszy mię, skręcił natychmiast,
I w najciemniejszej ukrył się gęstwinie.
Pociąg ten jego do odosobnienia
Mierząc mym własnym, (serce nasze bowiem
Jest najczynniejsze, kiedyśmy samotni)
Nie przeszkadzałem mu w jego dumaniach
I w inną stronę się udałem, chętnie
Stroniąc od tego, co rad mnie unikał.

[10]

Monteki. Nieraz o świcie już go tam widziano
Łzami poranną mnożącego rosę,
A chmury swego oblicza chmurami.
Aliści, ledwo na najdalszym wschodzie
Wesołe słońce z przed łoża Aurory
Zaczęło ściągać cienistą kotarę,
On, uciekając od widoku światła,
Co tchu zamykał się w swoim pokoju,
Zasłaniał okna przed jasnym dnia blaskiem
I sztuczną sobie ciemnicę utwarzał.
W czarne bezdroże dusza jego zajdzie,
Jeśli się na to lekarstwo nie znajdzie.

Benwolio. Szanowny stryju, znaszże powód tego?

Monteki. Nie znam i z niego wydobyć nie mogę.

Benwolio. Wybadywałeś go jakim sposobem?

Monteki. Wybadywałem i sam, i przez drugich:
Lecz on, jedyny powiernik swych smutków,
Tak im jest wierny, tak zamknięty w sobie,
Od otwartości wszelkiej tak daleki,
Jak pączek kwiatu, co go robak gryzie,
Nim światu wonny swój kielich roztoczył
I pełność swoją rozwinął przed słońcem.
Gdybyśmy mogli dojsć tych trosk zarodka,
Nie zbrakłoby nam zaradczego środka.

(Romeo ukazuje się w głębi).

Benwolio. Oto nadchodzi. Odstąpcie na stronę:
Wyrwę mu z piersi cierpienia tajone.

Monteki. Obyś w tej sprawie, co nam serce rani,
Mógł być szczęśliwszym od nas! Pójdźmy, pani.

(Wychodzą: Monteki i pani Monteki).

Benwolio. Dzień dobry, bracie.

Romeo. Jeszczeż nie południe?

Benwolio. Dziewiąta była dopiero.

Romeo. Jak nudnie
Wloką się chwile! Moiż-to rodzice
Tak spiesznie w tamtą zбочyli ulicę?

Benwolio. Tak jest. Lecz cóż tak chwile twoje dłuży?

Romeo. Nieposiadanie tego, co je skraca.

Benwolio. Miłość więc?

Romeo. Brak jej.

Benwolio. Jako? brak miłości?

Romeo. Brak jej tam, skądbym pragnął wzajemności.

Benwolio. Niestety! Czemuż, zdając się niebianką,
Miłość jest w gruncie tak srogą tyranką?

Romeo. Niestety! Czemuż z zasłoną na skroni,
Miłość na oślepie zawsze cel swój goni!
Gdzież dziś jeść będziem? Ach! Był tu podobno
Jakiś spór? Nie mów mi o nim, wiem wszystko.
W grze tu nienawiść wielka, lecz i miłość.
O! wy sprzeczności niepojęte dziwa:
Szorstka miłości! nienawiści tkliwa!
Coś narodzone z niczego! Pieszczoto
Odpychająca! Poważna pustoto!
Szpetny chaosie wdzięków! Ciężki puchu!
Jasna mgło! Zimny żarze! Martwy ruchu!
Śnie bez snu! Taką-to w sobie zawilość,
Taką niełączność łączy moja miłość.
Czy się nie śmiejesz?

Benwolio. Nie, płakałbym raczej.

Romeo. Nad czym, pocziwa duszo?

Benwolio. Nad uciskiem
Pocziwej duszy twojej.

Romeo. A więc strzała
Miłości nawet przez odbitkę działa?
Dość mi już ciężył mój smutek, ty jego
Brzemie powiększasz przewyżką twojego;
Współczucie twoje nad mojem cierpieniem
Nie ulgą, ale nowym jest kamieniem
Dla mego serca. Miłość, przyjacielu,
To dym, co z parą westchnień się unosi;
To żar, co w oku szczęśliwego płonie;
Morze łez, w którym nieszczęśliwy tonie.
Czemże jest więcej? Istnym amalgamem:

Żółcią trawiącą i zbawczym balsamem.
Bądź zdrów. (*Chce odejść*).

Benwolio. Zaczekaj! krzywdębyś mi sprawił,
Gdybyś mą przyjaźń z kwitkiem tak zostawił.

Romeo. Ach! ja nie jestem tu, nie jestem sobą;
To nie Romeo, co rozmawia z tobą.

Benwolio. Kogóż to kochasz? mów.

Romeo. Przestań mię dręczyć
Mamże wraz jęczyć i mówić?

Benwolio. Nie jęczyć,
Tylko mi klucz dać do tego problemu.
Kogóż to kochasz? powiedz!

[12]

Romeo. Każ choremu
Pisać testament: będzież to wezwanie
Dobre dla tego, co jest w tak złym stanie?
A więc kobietę kocham.

Benwolio. Celniem mierzył,
Gdym to pomyślał, nimesz mi powierzył.

Romeo. Biegle celujesz. I ta, którą kocham,
Jest piękna.

Benwolio. W piękny cel trafić najłatwiej.

Romeo. A właśnie chybił. Niczem tu kończany
Kupida; ona ma naturę Dyany;
Pod twardą zbroją wstydlivości swojej
Grotów miłości wcale się nie boi;
Szydzi z nawału zakłęć obłączniczych;
Odpiera szturmy spojrzeń napastniczych;
Nawet jej złota wszechwładztwo nie zjedna.
Bogata w wdzięki, w tem jedynie biedna,
Że, kiedy umrze, do grobu z nią zstąpi
Całe bogactwo, którego tak skąpi.

Benwolio. Wiecznież chce sama zostać z swem bogactwem?

Romeo. Tak jest; i skąpstwo to jest marnotrawstwem,
Bo piękność, którą własna srogość strawia,
Całą potomność piękności pozbawia.
Zbyt ona piękna, zbyt mądra zarazem;
Zbyt mądrze piękna: stąd istnym jest głazem.
Przysięgła nigdy nie kochać, i dzięki
Temu, skazany-m wiecznie cierpieć męki.

Benwolio. Jest na to rada: przestań myśleć o niej.

Romeo. Doradźże także, jakimbyś sposobem
Mógł przestać myśleć.

Benwolio. Dając oczom wolność
Rozpatrywania się w innych pięknościach.

Romeo. To byłby tylko sposób przywołania
Jej cudnych wdzięków tem żywiej na pamięć.
Maska, kryjąca lica pięknej damy,
Choć czarna, nęci nas, bo przeczuwamy
Pod nią zbiór ponęt; ten, co wzrok postradał,
Zapomniź kiedy, jaki skarb posiadał?
Pokaż mi jaki ideał dziewczęcy,
Będzież on dla mnie w istocie czem więcej,
Jak przypomnieniem, że jest piękność inna,
Przed którą ta-by uklęknąć powinna.
Bądź zdrów: niewczesną podajesz mi radę.

[13]

Benwolio. Najpraktyczniejszą, życie w zastaw kładę.

(*Wychodzą.*)

Ulica.

(*Wchodzą: Kapulet i Parys, za nimi służący.*)

Kapulet. Podobną, jak mnie, karą zagrożono
I Montekiemu; ależ w wieku naszym
Spokojnie siedzieć rzecz nie trudna.

Parys. Oba
Szanownych szczepów jesteście odrośle;
Tem-ci żałośniej, że od tyła czasu,
Żyjecie w takim rozdzieleniu z sobą.
Co mówisz, panie, na moje zabiegi?

Kapulet. To samo, co już dawniej powiedziałem:
Mojemu dziecku świat jest jeszcze obcy,
Ledwie czternastu lat wysnuła przędzę;
Parę jej wiosen jeszcze przeżyć trzeba,
Nim małżeńskiego zakosztuje chleba.

Parys. Z młodszych bywały nieraz szczęsne matki.

Kapulet. Lecz prędko więdną przedwczesne męzatkki.
Ziemia schłoneła wszystkie me nadzieje,
Oprócz tej jednej; ona jest, Parysie,
Przyszłą, jedyną moich ziem dziedziczką.
Staraj się jednak, skarb sobie jej serce,
Chęć ma z jej chęcią nie będzie w rozterce;
Jeśli cię przyjmie, głos ojca w tym względzie
Jej pozwolenia echem tylko będzie.
Daję dziś wieczór, na który niemało
Gości sprosilem; gdyby ci się dało
Być jednym więcej, w nader miły sposób
Zwiększyłbyś przez to zbiór miłych mi osób.
W biednym mym domu, jednocześnie z nocą,
Takie dziś gwiazdy ziemskie zamigocą,
Że od ich blasku blask niebieskich zblednie.
Uciechy, młodym ludziom odpowiednie,
Podobne do tych, jakie kwiecień sprawia,
Gdy w starym progu zimy się pojawia;
Takie uciechy, w całej swojej mocy,
Wśród hożych dziewic staną się tej nocy
Udziałem twoim w domu Kapuletów.
Przyjdź, przejrź i wybierz sobie z tych bukietów
Kwiat najpiękniejszy. I mój tam kwiat luby
Wejdz do liczby, choć nie do rachuby.
Idźmy. (*Do służki*). A wasze obejdz w krąg Weroneę,
Wynajdź osoby tu wyszczególnione

(*oddaje mu papier*).

I powiedz każdej, że mój dom otworem
Na ich usługi stanie dziś wieczorem.

(*Wychodzą: Kapulet i Parys*).

Służący. Mam wynaleźć osoby tu wyszczególnione: to się
znaczy, według tego, co tu napisano... A cóż tu napisano?
Oto: że szewc ma pilnować łokcia, a krawiec
kopyta; rybak pędzla, a malarz węcierza. Jakże wynajdę
osoby tu wyszczególnione, kiedy nie mogę wynaleźć
środka na wyczytanie tego, co osoba pisząca tu wyszczególniła?
Kazano mi jednak; muszę się udać do
uczonych. Oto jacyś ichmoście; może mi poradzą.

(*Wchodzi Romeo i Benwolio*).

Benwolio. Tak, bracie, płomień spędza się płomieniem,
Ból dawny nowym leczy się cierpieniem;
Kręć się na odwrót, gdy masz zawrót głowy;
Klin wyrugujesz, klin wbijając nowy;
Zaczerpnij nowej zarazy do łona,
A jad dawniejszej niewątpliwie skona.

Romeo. Liść pokrzywiany wyborny jest na to.

Benwolio. Na cóż to, proszę?

Romeo. Na oparzeliznę;

Spróbujno tylko.

Benwolio. Powiedz mi, Romeo,
Czyś ty oszalał?

Romeo. Nie, nie oszalałem,
Lecz wpadłem w gorszy stan niż szalonego.
W loch się dostałem, jestem pastwą głodu,
Chłost i mąk. — Dobry wieczór, przyjacielu.

Służący. Nawzajem, panie. Czy umiesz pan czytać?

Romeo. Niestety! umiem w moim przeznaczeniu
Czytać niedolę.

Służący. Tego się bez książki
Można nauczyć; ale ja się pytam,
Czy pan pisane rzeczy umie czytać?

[15]

Romeo. Małej mi rzeczy do tego potrzeba,
To jest znać tylko język i litery.

Służący. Słusznie pan mówisz, bądźże zdrów i wesół.

(Chce odejść).

Romeo. Czekajno wasze, umiem czytać. *(Czyta).*
»Siniór Martino, jego małżonka i córki. Hrabia Anzelm
ze swemi pięknymi siostrami. Sinióra wdowa po Witruwiuszu.
Siniór Placentio i jego miłe siostrzenice. Merkucyusz
i jego brat Walenty. Mój brat Kapulet z małżonką
i córkami. Moja śliczna siostrzenica Rozalina.
Liwia, siniór Valentio i nasz kuzyn Tybalt. Lucjusz
i nadobna Helena.«
Wspaniałe grono! *(Oddaje kartę).* Gdzież oni przyjść mają?

Służący. Owdzie.

Romeo. Gdzie?

Służący. Do naszego pałacu, na wieczerzę.

Romeo. Do czyjego pałacu?

Służący. Mojego pana.

Romeo. W istocie, powinienem się był przedewszystkim
spytać, kto nim jest.

Służący. Oznajmię to panu bez pytania: moim panem
jest możny, bogaty Kapulet; jeżeli panowie nie jesteście
z domu Montekich, to was zapraszam do niego
na kubek wina. Bądźcie weseli.

(Wychodzi).

Benwolio. Na tym wieczorze Kapuleta będzie
Bożyszczę twoje, piękna Rozalina,
Obok najpierwszych piękności werońskich.
Pójdź tam i okiem bezstronnem porównaj
Jej twarz z obliczem tych, które ci wskażę:
Wnet nowe bóstwo ślad dawnego zmaże.

Romeo. Gdyby rzetelny mój wzrok tak fałszywe
Miał dać świadectwo, lży stańcie się żarem!
Wy, zalewane wciąż, a jeszcze żywe
Przezrocza, spłońcie pod kłamstwa nadmiarem!
Zatrzeć jej wdzięki! Nigdy wszechwidzące
Równiej piękności nie widziało słońce.

Benwolio. Wielbisz ją, boś ją jedną na oboich
Ważył dotychczas szalach oczu swoich;
Lecz umieść na tej wadze kryształowej
Obok niej inną, którą ci gotowy
Będę dziś wskazać, a rękę, że owa
Nieporównana w kąć się przed tą schowa.

Romeo. Pójdę tam, ale z obojętnem okiem,
Jednej wyłącznie poić się widokiem.

(Wychodzą).

[16]

SCENA III.

Pokój w domu Kapuletów.

(Wchodzi pani Kapulet i Marta).

Pani Kapulet. Gdzie moja córka? Idź ją tu przywołać.

Marta. Na moją cnotę! jużem ją wołała.
Julciu! pieśczoćko moja! moje złotko!
Boże, zmiłuj się! Gdzież ona jest? Julciu!

(Wchodzi Julia).

Julia. Czy mnie kto wołał?

Marta. Mama.

Julia. Jestem, pani.
Co mi rozkażesz?

Pani Kapulet. Słuchaj. Odejdź, Marto;
Mam z nią sam na sam coś do pomówienia.
Marto, pozostań: przychodzi mi na myśl,
Że twa obecność może być potrzebna.
Julka ma piękny już wiek, wszakże prawda?

Marta. Ba, mogę wiek jej policzyć na palcach.

Pani Kapulet. Czternaście ma już lat, jak mi się zdaje.

Marta. Czternaście moich zębów w zakład stawię,
(Chociaż właściwie mam ich tylko cztery)
Że jeszcze nie ma. Rychłóż będzie święto
Piotra i Pawła?

Pani Kapulet. Za parę tygodni,
Mniej więcej.

Marta. Mniej czy więcej, czy okrągło,
Ale dopiero w wieczór na świętego
Piotra i Pawła skończy lat czternaście.
Ona z Zuzanką — Boże zbaw nas grzesznych! —
Były rówieśne. Zuzanka u Boga —
Byłże to anioł! — ale, jak mówiłam,
Julcia dopiero na świętego Piotra
I Pawła skończy pełna lat czternaście,
Tak, tak; pamiętam dobrze. Mija teraz
Rok jedenasty od trzęsienia ziemi;
Właśnie od piersi była odsadzona.
Z pomiędzy wszystkich dni bożego roku
Tego jednego nigdy nie zapomnę.
Piołunem sobie wtedy pierś potarłam,
Siedząc na słońcu tuż pod gołębnikiem.
Państwo byliście tego dnia w Mantui.
A co? mam pamięć? Ale, jak mówiłam,
Skoro pieśczoćka moja na brodawce
Poczuła gorycz, trzeba było widzieć,
Jak się skrzywiła, szarpnęła od piersi;
Gołębnik za mną: skrzyp! a ja co żywo
Na równe nogi: hyc! nie myśląc czekać,
Aż mi kto każe. Upłynęło odtąd
Lat jedenaście. Umiała już wtedy
O własnej sile stać, co mówię, biegać,
Dyrdać. Dniem pierwszej zbiła sobie czoło.
Mój mąż — świeć Panie, jego duszy! — podniósł
Z ziemi niebogę; był to wielki figlarz.
»Plackiem«, rzekł, »padasz teraz, a jak przyjdzie
Większy rozumek, to na wznak upadniesz,
Nieprawdaż, Julciu?« A ten mały łotrzyk,
Jak mi Bóg miły! przestał zaraz krzyczeć
I odpowiedział: »tak«. Chociażbym żyła
Tysiąc lat, nigdy tego nie zapomnę.
»Nieprawdaż, Julciu« rzekł, »że padniesz wznak?«
A mały urwis odpowiedział »tak«.

Pani Kapulet. Dość tego, Marto, skończ już tę historię,
Proszę cię.

Marta. Dobrze, miłościwa pani.
Ale nie mogę wstrzymać się od śmiechu,
Kiedy przypomnę sobie, jak to ona
Przestała krzyżeć i odpowiedziała:
»Tak«. Miała jednak guz jak kurze jaje,
Siniec porządny i płakała gorzko;
Ale gdy mąż mój rzekł: »*plackiem dziś padasz,*
A jak dorośniesz, to na wznak upadniesz,
Nieprawdaż, Julciu?« tak i niebożątka
Zaraz ucichło i odrzekło: »*tak*«.

Julia. Ucichnij też i ty, proszę cię, nianiu.

Marta. Jużem ucichła przecie. Pan Bóg z tobą!
Ty jesteś perłą ze wszystkich niemowląt,
Jakie karmiłam. Gdybym jeszcze mogła
Patrzeć na twoje zameście!...

[18]

Pani Kapulet. Zameście!
To jest punkt właśnie, o którym chcę mówić.
Powiedz mi, Julio, co myślisz i jakie
Są chęci twoje we względzie małżeństwa?

Julia. O tym zaszczyście jeszcze nie myślałam.

Marta. O tym zaszczyście! Gdybym nie ja była
Twą karmicielką, rzekłabym, żeś mądrość
Wyszała z mlekiem.

Pani Kapulet. Myśli o tem teraz.
Młodsze od ciebie dziewczęta z szlachetnych
Domów w Weronie wczesnie stan zmieniają;
Ja sama byłam już matką w tym wieku,
W którym tyś jeszcze panną. Krótko mówiąc,
Waleczny Parys stara się o ciebie.

Marta. To mi kawaler! panniuniu, to brylant
Taki kawaler: chłopiec gdyby z wosku!

Pani Kapulet. Nie ma w Weronie równego mu kwiatu.

Marta. Co to, to prawda: kwiat to, kwiat prawdziwy.

Pani Kapulet. Cóż, Julio? Będieszże mogła go kochać?
Dziś w wieczór ujrzysz go wśród naszych gości.
Wczytaj się w księgę jego lic, na których
Pióro piękności wypisało miłość;
Przypatrz się jego rysom, jak uroczo,
Zgodnie się schodzą z sobą i jednoczą;
A co w tej księdze wyda ci się mrocznym,
To w jego oczach stanie-ć się widocznym.
Do upięknienia tej zaprawdę rzadkiej
Edycyi męża brak tylko okładki.
Roślina w ziemi, ryba w wodzie żyje;
Miło, gdy piękną treść piękny wierzch kryje;
I tem wspanialsza, tem więcej jest warta
Złota myśl w złotej oprawie zawarta.
Tak więc z nim wszystką jego własć posiędziesz
I w niczem sama ujmy mieć nie będziesz.

Marta. Ujmy? Ba, owszem przyrost, boć to przecie
Zawždy z mężczyzną przybywa kobiecie.

Pani Kapulet. Chcesz go? powiedz krótko, węzłowato.

Julia. Zobaczę, jeśli patrzenia dość na to;
Nie głębiej jednak myślę w tę rzecz wglądać,
Jak tobie, pani, podoba się żądać.

(*Wchodzi Służący*).

Służący. Pani, goście już przybyli; wieczerza zastawiona,
czekają na panią, pytają o pannę Julię, przeklinają
w kuchni panią Martę — słowem, niecierpliwość powszechna.
Niech panie raczą pośpieszyć. (*Wychodzi*).

[19]

Pani Kapulet. Pójdź, Julio; w hrabi serce tam dygoce.

Marta. Idź i po błogich dniach błogie znajdź noc.

(Wychodzą).

SCENA IV.

Ulica.

(Wchodzą: Romeo, Merkucio i Benwolio w towarzystwie pięciu czy sześciu masek. Ludzie z pochodniami i inne osoby).

Romeo. Mamyż przy wejściu z przemową wystąpić,
Czy też poprostu wejść?

Benwolio. Wyszły już z mody
Te ceremonie: nie będziemy z sobą
Wiedli Kupida z bindą wkoło skroni,
Łuk malowany z gontu niosącego
I straszącego dziewczęta jak ptaki;
Ani też owych prawili oracyi,
Mdło za suflerem cedzonych na wstępie.
Niech sobie o nas pomyślą, co zechcą;
Wejdzim, pokręcim się i znikniem potem.

Romeo. Kręćcie się, kiedy chcecie, jam do tego
Dziś niesposobny.

Merkucio. Kochany Romeo,
Musisz potańczyć także.

Romeo. Nie, doprawdy.
Wy macie lekkie trzewiki, to tańczcie;
Mnie ołów serce tłoczy, ledwie mogę
Ruszyć się z miejsca.

Merkucio. Zakochany jesteś;
Pożycz strzelistych od Kupida skrzydeł
I wznies się niemi nad poziomą sferę.

Romeo. Nie mnie, tkniętemu srodze jego strzałą,
Strzeliście wzbijając się na jego skrzydłach;
Nie mnie się wznosić nad poziom, co, nosząc
Brzemię miłości, na poziom upadam.

Merkucio. A gdybyś upadł z nią, ją-byś obrzemiał,
Tak delikatną rzecz przygniótłbyś srodze.

Romeo. Nazywasz miłość rzeczą delikatną?
Zbyt owszem twarda, szorstka i koląca.

Merkucio. Twarda li dla cię, bądź i dla niej twardy;
Kol ją, gdy kole, a zwalisz ją łatwo.
Hola, podajcie mi na twarz pokrowiec!
Maskę na maskę!

(wkłada maskę).

Niechaj sobie teraz
Ciekawe oko nicuje mą szpetność!
Ta larwa za mnie będzie się rumienić.

Benwolio. Idźmy, panowie; zadzwońmy, a potem
Ostro już tylko polećmy się nogom.

Romeo. Niech trzpioty lehcą nieczułą posadzkę!
Pochodni dla mnie! bom ja dziś skazany,
Jak ów pacholek, co świeci swej pani,
Stać nieruchomie i martwym być widzem.

Merkucio. Stój, jak chcesz, byłeś tylko nie stał o to,
Co cię tak martwi, a w czym (z całym winnym
Uszanowaniem dla twojej miłości)
Jak w błocie, widzę, po uszy zagrzałeś.
Nuże, nie palmy świec w dzień.

Romeo. Palmyż teraz,
Bo noc jest.

Merkucio. Mniemam, panie, że, czas tracąc,
Zarówno psujem świece bez potrzeby,
Jak w dzień je paląc. Przyjmij tę uwagę,
Bo w niej pięć razy więcej jest logiki,
Niż w naszych pięciu zmysłach.

Romeo. Uważamy
Za rzecz stosowną pójść tam na ten festyn,
Chociaż logiki w tem niema.

Merkucio. Dlaczego?

Romeo. Miałem tej nocy marzenie.

Merkucio. Ja także.

Romeo. Cóż ci się śniło?

Merkucio. To, że marzyciele
Najczęściej zwykli kłamać.

Romeo. Przez sen, w łóżku,
Gdy w gruncie marzą o rzeczach prawdziwych.

Merkucio. Snadź się królowa Mab widziała z tobą:

Ta, co to babi wieszczkom i w postaci
Kobietki, mało co większej niż agat
Na wskazującym palcu aldermana,
Ciągniona cugiem drobniuchnym atomów,
Tuż, tuż śpiącemu przeciąga pod nosem.
Szprychy jej wozu z długich nóg pajęczych;
Osłona z lśniących skrzydełek szarańczy;
Sprzężaj z plecionych nitek pajęczyny;
Lejce z wilgotnych księżycy promyków;
Bicz z cienkiej żyłki na świerszcza szkielecie;
A jej forszpanem mała, szara muszka,
Przez pół tak wielka, jak ów krągły owad,
Co siedzi w palcu leniwej dziewczyny;
Wozem zaś próżny laskowy orzeszek,
Dzieło wiewiórki lub majstra robaka,
Tych z dawien dawna akredytowanych
Stelmachów wieszczek. W takich to przyborach
Co noc harcuje po głowach kochanków,
Którzy natenczas marzą o miłości;
Albo po giętkich kolanach dworaków,
Którzy natenczas o ukłonach marzą;
Albo po chudych palcach adwokatów,
Którym się wtedy roją honorarya;
Albo po ustach romansowych damul,
Którym się wtedy marzą pocałunki;
Często atoli Mab na te ostatnie
Zsyła przedwczesne zmarszczki, gdy ich oddech
Za bardzo znajdzie cukrem przesycony.
Czasem też wjeżdża na nos dworakowi:
Wtedy śnią mu się nowe łaski pańskie;
Czasem i księdza plebana odwiedzi,
Gdy ten spokojnie drzemie i ogonem
Dziesięcinnego wieprza w nos go łechce:
Wtedy mu nowe śnią się beneficja.
Czasem wkłusuje na kark żołnierzowi:
Ten wtedy marzy o cięciach i pchnięciach,
O szturmach, breszach, o hiszpańskich klingach,
O czynach wielkich na paręset sążni;
Wtem mu zatrąbi w ucho: nasz bohater
Truchleje, zrywa się, klnąc zmawia pacierz
I znów zasypia. Taka jest Mab: ona,
Ona-to w nocy zlepia grzywy koniom
I włos ich gładki w szpetne kudły zbija,
Które rozczesać niebezpiecznie; ona
Jest ową zmorą, co na wznak leżące
Dziewczęta dusi i wcześniej je uczy
Dźwigać ciężary, by się z czasem mogły
Zawołanemi stać gospodyniami.
Ona-to, ona...

[21]

[22]

Romeo. Skończ już, skończ, Merkucio!
Prawisz o niczem.

Merkucio. Prawię o marzeniach,
Które w istocie niczem innym nie są,
Jak wylęglymi w chorobliwym mózgu
Dziećmi fantazyi; ta zaś jest pierwiastku
Tak subtelnego właśnie, jak powietrze,
Bardziej niestała, niż wiatr, który już to
Mroźną całuje północ, już to z wstrętem
Rzuca ją, dążąc w objęcia południa.

Benwolio. Coś ten wiatr zawiął, zdaje się, i na nas.
Wieczerna stoi, spóznimy się na nią.

Romeo. Boję się, czyli nie przyjdziem zawczasie:
Bo moja dusza przeczuwa, że jakieś
Nieszczęście, jeszcze wpośród gwiazd wiszące,
Złowrogi bieg swój rozpocznie od daty
Uciech tej nocy, i kres zamkniętego
W mej piersi, zbyt już nieznośnego życia
Przyśpieszy jakimś strasznym śmierci ciosem.
Lecz niech ten, który ma ster mój w swym ręku,
Kieruje moim żaglem! Dalej! Idźmy! (*Wychodzą*).

SCENA V.

Sala w domu Kapuletów.

(*Wchodzą: muzykanci i służby*).

Pierwszy sługa. Gdzie Potpan? Czemu nie pomaga sprzątać?
Gęsi mu paść, nie służyć.

Drugi sługa. Tak to, kiedy ważne obowiązki lokaja powierzają
ludziom złej manieri; na dyabła się to zdało.

Pierwszy sługa. Powynościę stołki! usuńcie na bok bufet!
Pozbierajcie srebra! Schowajno tam dla mnie, braciszku,
kawalek marcepana i szepnij na ucho odźwiernemu,
żeby wpuścił Zuzannę Grindston i Nelly; jak
mię kochasz. — Antoni! Potpan!

(*Wchodzą dwaj inni służby*).

Trzeci sługa. Czegoż tam? Co za gwałt?

Pierwszy sługa. Wołają was, pytają o was, czekają na
was, niecierpliwą się na was w wielkiej sali.

Czwarty sługa. Nie możemy być tu i tam razem. Dalej,
chłopcy! pohulajmyż dzisiaj! Kto umie czekać, wszystkiego
się doczeka. (*Oddalają się*).

[23]

(*Kapulet i inny wchodzą z gośćmi i maskami*).

Kapulet. Witaj, cna młodzi! Wolne od nagniotków
Damy rachują na waszą ruchawość.
Śliczne panienki, któraż z was odmówi
Stanąć do tańca? O, takiej wręcz powiem
Że ma nagniotki. A co? tom was zażył!
Dalej, panowie! I ja kiedyś także
Maskę nosiłem i umiałem szeptać
W ucho pięknościom jedwabne powieści,
Co szły do serca; przeszło to już, przeszło.
Nuże, panowie! Grajki, zaczynajcie!
Miejsca! rozstąpmy się! dalej, dziewczęta!

(*Muzyka gra. Młodzież tańczy.*)

Hej! więcej światła! wynieście te stoły!
I zgaście ogień, bo zbyt już gorąco.
Siadajże, siadaj, bracie Kapulecie!
Dla nas dwóch czasy piasów już minęły.
Jakże to dawno byliśmy obydwaj
Po raz ostatni w maskach?

Drugi Kapulet. Będzie temu
Lat ze trzydzieści.

Kapulet. Co? co! nie tak dawno.
Było to, pomnę, na godach Lucencia;
Na te Zielone Świątki, da Bóg dożyć,
Będzie dwadzieścia pięć lat.

Drugi Kapulet. Dawniej, dawniej,
Wszak już syn jego jest trzydziestoletni.

Kapulet. Co mi waść prawisz? Przede dwoma laty
Syn jego nie był jeszcze pełnoletnim.

Romeo (*do jednego ze sług*). Co to za dama, co w tej chwili tańczy
Z tym kawalerem?

Sługa. Nie wiem, jaśnie panie.

Romeo. Ona zawstydza świec jarzących blaski!
Piękność jej wisi u nocnej opaski,
Jak drogi klejnot u uszu Etyopa.
Nie tknęła ziemi wytworniejsza stopa.
Jak śnieżny gołąb wśród kawek, tak ona
Świeci wśród swoich towarzyszek grona.
Zaraz po tańcu przybliżę się do niej
I dłoń mą uczczę dotknięciem jej dłoni.
Kochałem dotąd? O! zaprzecz, mój wzroku!
Boś jeszcze nie znał równego uroku.

Tybalt. Sądząc po głosie, z Montekich to któryś.
Dajno mi rapir, chłopcze. Jak się waży
Ten łotr tu wchodzić i kłamaną larwą
Szyderczo naszej urągać zabawie?
Na krew szlachetną, co mi wzdyma serce,
Nie będzie grzechu, jeśli go uśmiercę.

Kapulet. Tybaltcie, co ci to? Czego się zżymasz?

Tybalt. Ujmy tej, stryju, pewno nie wytrzymasz:
Jeden z Montekich, twych śmiertelnych wrogów,
Śmie tu znieważać gościnność twych progów.

Kapulet. Czy to Romeo?

Tybalt. Tak, ten-to nikczemnik.

Kapulet. Daj mu waść pokój; nie wychodzi przecie
Z granic wytkniętych dobrym wychowaniem;
I prawdę mówiąc, cała go Werona
Ma za młodzieńca pełnego przymiotów:
Nie chciałbym za nic w świecie w moim domu
Czynić mu krzywdy. Uspokój się zatem,
Miły synowcze, nie zważaj na niego;
Taka ma wola; jeśli ją szanujesz,
Okaz uprzejmość i spędź precz z oblicza
Ten mars niezgodny z weselem tej doby.

Tybalt. Taki gość w domu nabawia choroby;
Nie ścierpię go tu.

Kapulet. Chcę go mieć cierpianym.
Cóż to, zuchwalcze? Mówię, że chcę! Cóż to?
Czy ja tu jestem, czy waść jesteś panem?
Waść go tu nie chcesz ścierpieć! Boże odpuść!
Waść mi chcesz gości porozpędzać? kołki
Na łbie mi strugać? przewodzić w mym domu?

Tybalt. Stryju, to zakał.

Kapulet. Cicho! burdą jesteś.
Z tą porywcznością doigrasz się waszmość.
Zawsze mi musisz się sprzeciwiać! — Brawo,
Kochana młodzi! — Urwipość z waści!
Siedź cicho, albo... — Hola! więcej światła! —
Ja cię uciszę. Patrz go! — Żwawo, chłopcy!

Tybalt. Gniew dobrowolny z flegmą przymuszoną,
Na krzyż się schodząc, wstrząsają mi łono.
Muszę ustąpić; wkrótce się atoli
W gorzką żółć zmieni ta słodycz wbrew woli.

(*Oddala się.*)

[24]

[25]

Romeo (*do Julii*). Jeśli dłoń moja, co tę świętość trzyma,
Bluźni dotknięciem: zuchwalstwo takowe
Odpokutować usta me gotowe
Pocałowaniem pobożnym pielgrzymia.

Julia (*do Romea*). Mości pielgrzymie, bluźnisz swojej dłoni,
Która nie grzeszy zdrożnym dotykaniem;
Jestli ujęcie rąk pocałowaniem,
Nikt go ze świętych pielgrzymom nie broni.

Romeo (*jak pierwszej*). Nie mająż święci ust, tak jak pielgrzymi?

Julia (*jak pierwszej*). Mają ku modłom lub kornej podzięce.

Romeo. Niechże ich usta czynią to, co ręce;
Moje się modlą, przyjm modły ich, przyjmij.

Julia. Niewzruszonymi pozostają święci,
Choć gwoli modłom niewzbronnie ich chęci.

Romeo. Ziść więc cel moich, stojąc niewzruszenie,
I z ust swych moim daj wziąć rozgrzeszenie.

(*Całuje ją*).

Julia. Moje więc teraz obciąża grzech zdjęty.

Romeo. Z mych ust? O! grzechu, zbyt pełen ponęty!
Niechże go nazad rozgrzeszony zdejmie!
Pozwól. (*Całuje ją znowu*).

Julia. Jak z książki całujesz, pielgrzymie.

Marta. Panienko, jejmość pani matka prosi.

Romeo. Któż jest jej matką?

Marta. Jej matką? Bajbardzo!
Nikt inny, jeno pani tego domu;
I dobra pani, mądra a cnotliwa.
Ja byłam mamką tej, coś z nią pan mówił.
Smaczny by kąsek miał, ktoby ją złowił.

Romeo. Julia Kapulet! O, dolo zbyt sroga!
Życie me jest więc w ręku mego wroga.

Benwolio. Wychodźmy, wieczór dobiega już końca.

Romeo. Niestety! z wschodem dla mnie zachód słońca.

Kapulet (*do rozchodzących się gości*).
Ejże, panowie, pozostańcie jeszcze;
Mają nam wkrótce dać małą przekąskę.
Chcecie koniecznie? Muszę więc ustąpić.
Dzięki wam, mili panowie i panie.
Dobranoc. Światła! Idźmyż spać.

(*Do drugiego Kapuleta*).

Braciszku,
Zapóźniliśmy się; idę wypocząć.

(*Wychodzą wszyscy, prócz Julii i Marty*).

Julia. Czy nie wiesz, nianiu, kto jest ten pan?

Marta. Ten, tu?
To syn starego Tyberya.

Julia. A tamten,
Co właśnie ku drzwiom zmierza.

Marta. To podobno
Młody Petrycy.

Julia. A ów, tam na prawo,
Co nie chciał tańczyć?

Marta. Nie wiem.

Julia. Spytaj, proszę,
Jak się nazywa. Jeżeli żonaty,
Całun mię czeka zamiast ślubnej szaty.

Marta. Zwie się Romeo, jest z rodu Montekich,
Synem waszego największego wroga.

Julia. Jako obcego zawczasie ujrzałam!
Jako lubego za późno poznałam!
Dziwny miłości traf się na mnie iści,
Że muszę kochać przedmiot nienawiści.

Marta. Co to jest? co to takiego?

Julia. To wiersze,
Których mię jeden tancerz dziś nauczył.

Marta. Pójdź spać, waćpanna.

Głos (za sceną). Julio!

Marta. Dalej! dalej!
Wołają panny i pusto już w sali.

(Wychodzą).

CHÓR

(Przekład J. Kasprowicza).

Dawna namiętność już w całunach leży,
W jej miejscu władnie siła żądzы nowój;
Piękną przestała być przy Julii świeżej
Piękność, dla której umrzeć był gotowy.

Dziś jest Romeo kochany i kocha,
W oczach obojga żar jednaki płonie;
Lecz on, w niej wroga przypuszczając, szlocha,
A ona miłość z wędki grozy chłonie.

On się nie zbliży i przed nią nie złoży
Przysięg serdecznych, uważan za wroga;
I jej, choć w łonie namiętność się sroży,
Zejęcia się z lubym zamkniętą jest droga.

Lecz w żądzы siła: po wielkich katuszach
Wielką im radość czas zgotuje w duszach.

[27]

AKT DRUGI.

SCENA I.

Pusty plac, przytykający do ogrodu Kapuletów.

(Wchodzi Romeo).

Romeo. Mamże iść dalej, gdy tu moje serce?
Cofnij się, ziemio, wynajdź sobie centrum!

(Wchodzi na mur i spuszcza się do ogrodu).

(Wchodzą Merkucio i Benwolio).

Benwolio. Romeo! bracie! Romeo!

Merkucio. Ma rozum;
Powietrze chłodne, więc dyrnął do łóżka.

Benwolio. Pobiegł tą drogą i przełaził przez parkan.
Wołaj, Merkucio!

Merkucio. Użyję nań zaklęć:
Romeo! gachu! cietrzewiu! wariacie!
Ukaż się w lotnej postaci westchnienia,
Powiedz choć jeden wiersz, a dość mi będzie;
Jęknij: ach! połącz w rym: kochać i szlochać;
Szepnij Wenerze jakie piękne słówko;
Daj jaki nowy epitet ślepemu

Jej synalkowi, co tak celnie strzelał
 Za owych czasów, gdy król Kofetua
 W zaloty chodził do córki żebraczej.
 Nie słucha; ani piśnie, ani trunie;
 Zdechł robak; musze zakląć go inaczej.
 Klnę cię na żywe oczy Rozaliny,
 Na jej wysokie czoło, krasne usta,
 Wysmukłe nóżki i toczone biodra
 Z przyległościami, abys się przed nami
 W właściwej sobie postaci ukazał.

Benwolio. Gniewać się będzie, jeśli cię usłyszy.

Merkucio. Co się ma gniewać? Mógłby się rozgniewać,
 Gdyby za sprawą mojego zaklęcia
 W zaczarowane koło jego pani
 Inny duch wkroczył, i stał tam dopóty,
 Dopóki go nie zmogła: to byłby
 Powód do uraz; moja inwokacja
 Jest przyjacielską i godziwą razem,
 Bo wywołuje w imię jego pani
 Jego jedynie naturalną postać.

Benwolio. Pójdź! skrył się owdzie pomiędzy drzewami,
 By się tam zbratał z tajemniczą nocą:
 Ślepym w miłości ciemność jest najmilsza.

Merkucio. Możeż w cel trafić miłość, będąc ślepą?
 Niechże tam sobie po ciemności maca,
 Jak dłuo zechce. Dobranoc, Romeo!
 Idę lecz w mojem łóżku za kotarą,
 Bo to polowe tu dla mnie za chłodne.
 Czy idziesz także?

Benwolio. Idę; próżno szukać
 Takiego, co być nie chce znalezionym.

(Wychodzą).

SCENA II.

Ogród Kapuletów.

(Wchodzi Romeo).

Romeo. Drwi z blizn, kto nigdy nie doświadczył rany.

(Julia ukazuje się w oknie).

Lecz cicho! Co za blask strzelił tam z okna!
 Ono jest wschodem, a Julia jest słońcem!
 Wnijdź cudne słońce, zgładź zazdrosną lunę,
 Która aż zbladła z gniewu, że ty jesteś
 Od niej piękniejszą; ukarż ją zaćmieniem
 Za tę jej zazdrość; zetrzyj ją do reszty!
 To moja pani, to moja kochanka!
 O! gdyby mogła wiedzieć, czem jest dla mnie!
 Przemawia, chociaż nic nie mówi; cóż stąd?
 Jej oczy mówią, oczom więc odpowiem.
 Za śmiały jestem; mówią, lecz nie do mnie.
 Ptaki ocknęłyby się i śpiewały,
 Myśląc, że to już nie noc, lecz dzień biały.
 Patrz, jak na dłoni smutnie wsparła liczko!
 O! gdybym mógł być tylko rękawiczką,
 Co tę dłoń kryje!

Julia. Ach!

Romeo. Cicho! coś mówi.
 O! mów, mów dalej, uroczy aniele;
 Bo ty mi w noc tę tak wspaniale świecisz,
 Dwie najjaśniejsze, najpiękniejsze gwiazdy
 Z całego nieba, gdzieindziej zajęte,
 Prosiły oczu jej, aby zastępczo
 Stały w ich sferach, dopóki nie wrócą.

Lecz choćby oczy jej były na niebie,
A owe gwiazdy w oprawie jej oczu:
Blask jej oblicza zawstydziłyby gwiazdy,
Wśród eterycznej zabłyśły przezroczy,
Jak lotny goniec niebios rozwartemu
Od podziwienia oku śmiertelników,
Które się wlepia w niego, aby patrzeć,
Jak on po ciężkich chmurach się przesuwają
I po powietrznej żeglują przestrzeni.

Julia. Romeo! czemuż ty jesteś Romeo!
Wyrzecz się swego rodu, rzuć tę nazwę!
Lub, jeśli tego nie możesz uczynić,
To przysiąż wiernym być mojej miłości,
A ja przestanę być z krwi Kapuletów.

Romeo. Mamże przemówić, czy też słuchać dalej?

Julia. Nazwa twa tylko jest mi nieprzyjazną,
Boś ty w istocie nie Montekim dla mnie.
Jestże Monteki choćby tylko ręką,
Ramieniem, twarzą, zgoła jakąkolwiek
Częścią człowieka? O! weź inną nazwę!
Czemże jest nazwa? To, co zowiem różą,
Pod inną nazwą równieby pachniało;
Tak i Romeo, bez nazwy Romea
Przecieżby całą swą wartość zatrzymał.
Romeo! porzuć tę nazwę, a w zamian
Za to, co nawet cząstką ciebie nie jest,
Weź mię, ach! całą!

Romeo. Biorę cię za słowo:
Zwij mię kochankiem, a krzyżmo chrztu tego
Sprawi, że odtąd nie będę Romeem.

Julia. Ktoś ty jest, co się nocą osłaniając,
Podchodzisz moją samotność?

Romeo. Z nazwiska
Nie mógłbym tobie powiedzieć, kto jestem:
Nazwisko moje jest mi nienawistnym,
Bo jest, o! święta, nieprzyjaznym tobie;
Zdarłbym je, gdybym miał je napisane.

Julia. Jeszcze me ucho stu słów nie wypiło
Z tych ust, a przecież dźwięk już ich mi znany.
Jestżeś Romeo, mów? jestżeś Monteki?

Romeo. Nie jestem ani jednym, ani drugim,
Jednoli z dwojga jest niemiłem tobie.

Julia. Jakżeś tu przyszedł, powiedz, i dlaczego?
Mur jest wysoki i trudny do przejścia,
A miejsce zgubne; gdyby cię kto z moich
Krewnych tu zastał...

Romeo. Na skrzydłach miłości
Lekko, bezpiecznie mur ten przesadziłem,
Bo miłość nie zna żadnych tam i granic;
A co potrafi, na to się i waży;
Krewni więc twój nie trwożą mię wcale.

Julia. Zabiliby cię, gdyby cię ujrzeni.

Romeo. Ach! więcej groźby leży w oczach twoich,
Niż w ich dwudziestu mieczach: patrz łaskawie,
A będę silny przeciw ich gniewowi.

Julia. Na Boga! niech cię oni tu nie ujrzą!

Romeo. Ciemny płaszcz nocy skryje mię przed nimi.
Lecz niech mię znajdą, jeśli ty mię kochasz.
Lepszy kres życia skutkiem ich niechęci,
Niż przedłużony zgon w braku twych uczuć.

Julia. Kto ci dopomógł znaleźć to ustronie?

Romeo. Miłość, co mi go doradziła szukać:
Ona mi instynkt, ja jej oczy dałem.
Nie jestem sternik, gdybyś jednak była

Równie daleko, jak ów brzeg, którego
Morze najdalsze podmywa krawędzie,
Śmiało po taki klejnotbym popłynął.

[31]

Julia. Gdyby nie ciemność, co mi twarz maskuje,
Widziałbyś na niej rozlany rumieniec
Po tem, co z ust mych słyszałeś tej nocy.
Radabym form się trzymać, rada cofnąć
To, co wyrzekłam; ale precz udanie!
Czy mię ty kochasz? Wiem, że powiesz: — tak jest;
I jać uwierzę; mimo przysięg jednak
Możesz mię zawieść. Z wiarołomstwa mężczyzn
Śmieje się, mówią, Jowisz. O! Romeo!
Jeśli mię kochasz, wyrzecz to rzetelnie;
Lecz jeśli masz mię za podbój zbyt łatwy,
To zmarszczę czoło i przewrotną będę
I na miłosne twoje oświadczenia
Powiem: — nie, w innym razie za nic w świecie.
Za czuła może jestem, o! Monteki,
Stąd możesz sądzić me obejście płochem;
Ufaj mi jednak, będę ja wierniejsza
Od tych, co bieglej umięją się drożyć.
Byłabym ja się była, prawdę mówiąc,
Także drożyła, gdybyś był tajnego
Głosu miłości mojej nie podchwycił.
Nie wiń mię przeto, ani też przypisuj
Płochości tego wylania mych uczuć,
Które zdradziła noc ciemna.

Romeo. O! Julio,
Przysięgam na ten księżyc, co wspaniale
Powleka srebrem tamtych drzew wierzchołki...

Julia. O! nie przysięgaj na księżyc, bo księżyc
Co tydzień zmienia kształt swej pięknej tarczy;
I miłość twoja po takiej przysiędze
Mogłaby również zmienną się okazać.

Romeo. Na cóż mam przysiędz?

Julia. Nie przysięgaj wcale;
Lub wreszcie przysięż na samego siebie:
Na ten uroczy przedmiot mych uwielbień,
To ci uwierzę.

Romeo. Jeśli szczerą miłość
Mojego serca...

Julia. Daj pokój przysięgom.
Lubo się cieszę z twojej obecności,
Te nocne śluby nie cieszą mnie jakoś:
Za nagłe one są, za nierozważne,
Podobne niby do blasku, co znika,
Nim człowiek zdąży powiedzieć: — błysnęło.
Dobranoc, luby! Oby nam ten wonny
Miłości pączek przyniósł kwiat niepłonny!
Bądź zdrow! i zaśnij z tak błogim spokojem,
Jaki, z twej łaski, czuję w sercu mojem.

[32]

Romeo. Także mam odejść niezaspokojony?

Julia. Jakiegoż więcej chcesz zaspokojenia?

Romeo. Zamiany twoich zapewnień za moje.

Julia. Jużem ci dała je, nimeś zażądał;
Radabym jednak one mieć na powrót.

Romeo. Chciałażbyś cofnąć je? Dlaczego? luba!

Julia. Ażebym mogła oddać ci je znowu.
A przecież jest to żądanie zbytęczne,
Bo moja miłość równie jest głęboka,
Jak morze, równie jak ono bez końca;
Im więcej ci jej udzielam, tem więcej
Czuję jej w sercu.

(Słychać w pokojach głos Marty).

Wołają mię. — Zaraz.
Bądź zdrów, kochanku drogi! — Zaraz, zaraz.
— Najmilszy, pomnij być stałym! — Zaczekaj,
Zaczekaj trochę, powrócę za chwilę.

(*Wychodzi*).

Romeo. Błogosławiona, o! błogosławiona
Po dwakroć nocy! Ale czy to wszystko,
Dziejąc się w nocy, nie jest marą tylko?
Coś tak lubego może być istotnem?

Julia (*ukazując się znowu*). Jeszcze słów parę, a potem dobranoc,
Drogi Romeo! jeśli twoja skłonność
Jest prawą, twoim zamiarem małżeństwo,
To mię uwiadom jutro przez osobę,
Którą do ciebie przyślę, gdzie i kiedy
Zechcesz dopełnić obrzędu; a wtedy
Całą mą przyszłość u nóg twoich złożę
I w świat za tobą pójde w imię Boże.

Marta (*za sceną*). Panienko!

Julia. Idę. — Lecz jeśli mię zwodzisz,
To cię zaklinam...

Marta (*za sceną*). Julciu!

Julia. Zaraz idę.
— Jeśli mię zwodzisz, o! to cię zaklinam,
Skończ te zabiegi i zostaw mię żalom.
— Jutro więc przyślę.

[33]

Romeo. Jak pragnę zbawienia...

Julia. Po tysiąc razy dobranoc.

(*Odchodzi*).

Romeo. Po tysiąc
Razy niedobra tam, gdzie ty nie świecisz.
Jak żak, gdy rzuca książkę, tak kochanek
Do celu swego pospiesza wesoły;
A gdy nadejdzie z kochanką rozstanek,
Wlecze się smutnie, jak ów żak do szkoły.

(*Odchodzi*).

Julia (*ukazuje się znowu*). Pst! pst! Romeo! O, gdybym mieć mogła
Głos sokolnika, by tego maiża
Nazad przywołać! Przymus jest ochrypły,
Nie może głośno mówić; gdyby nie to,
Wstrząsłabym góry, gdzie się echo kryje,
I głosbym jego zrobiła chrapliwszym,
Niż mój, od rozbrzmień imienia Romeo!

Romeo. Moja to dusza dzwoni imię moje,
Jak srebrny dźwięk ma nocą głos kochanki!
I jestże słodsza muzyka na świecie?

Julia. Romeo!

Romeo. Luba!

Julia. O której godzinie
Jutro mam przysłać?

Romeo. O dziewiątej.

Julia. Dobrze.
Dwudziestoletni to termin. Nie pomnę,
Pocom tu ciebie znowu przywołała.

Romeo. Pozwól mi czekać, aż sobie przypomnisz.

Julia. Zapomnę znowu, po co czekasz, pomnąc
O twojej tylko lubej obecności.

Romeo. A ja wciąż czekać będę, abyś ciągle
Zapominała, sam zapominając,
Że mam gdzie inny dom jak tutaj.

Julia. Wkrótce
Dnieć będzie: radabym, żebyś już odszedł;
Nie dalej jednak, jak ów biedny ptaszek,
Co go swawolne dziecko z rąk wypuszcza,
I wnet zazdroszcząc mu krótkiej wolności,
Jak niewolnika trzymanego w więzach,
Jedwabnym sznurkiem przyciąga napowrót.

[34]

Romeo. Chciałbym być biednym ptaszkiem w twoich rękach.

Julia. O! jabym zbytkiem pieścizot cię zabiła.
Dobranoc, luby! jeszcze raz dobranoc!
Takam w życzeniach niepohamowana,
Żeby dobranoc wołała do rana.

(Odchodzi).

Romeo. Sen na twe oczy, pokój w pierś niech spłynie;
Obym był nimi w tej błogiej godzinie!
Spieszę do ojca Laurentego celi,
On mi pomocy i rady udzieli.

(Wychodzi).

SCENA III.

Cela Ojca Laurentego.

(Wchodzi Ojciec Laurenty z koszykiem w rękach).

O. Laurenty. Szary poranek spędza mrok ponury,
Pasami światła znacząc wschodnie mury,
I noc się na bok chyli jak pijana
Z dróg dnia ubitych stopami Tytana.
Nim oko słońca pełnym blaskiem strzeli,
Rosę wypije i świat rozweseli,
Muszę zbierać w ten koszyk z sitowia
Roślin tak zbawczych jak zgubnych dla zdrowia.
Ziemia jest matką natury i grobem,
Grzebie i życia obdziela zasobem.
I mnóstwo dzieci jej łona widzimy
Ciągających pokarm z jej piersi rodzimój;
Niejedno w skutkach swoich wyśmienite,
Każde do czegoś, wszystko rozmaite.
O! moc to pełna cudów, co się mieści
W sokach ziół, krzewów, w martwej kruszców treści!
Bo niema rzeczy tak podłych na ziemi,
Aby nie mogły stać się przydatnymi;
Ni tak przydatnych, aby, miasto służyć,
Nie zaszkodziły pod wpływem nadużyć.
Wszakże i cnota może zejść w bezdroże,
A błąd się czynem uszlachetnić może.
W mdłym kwiatku, w ziółku jednym i tem samem
Ma nieraz miejsce jad wspólnie z balsamem,
Co zmysły razi, i to co im sprzyja,
Bo jego zapach rzeźwi, smak zabija.
Podobnie sprzeczna i w człowieku gości
Dwójca pierwiastków: dobroci i złości;
A kędy górę gorsza weźmie strona,
Tam śmierć przychodzi i roślina kona.

[35]

(Wchodzi Romeo).

Romeo. Dzień dobry, ojciec mój!

O. Laurenty. *Benedicite!*
Cóż to za ranny głos tak mnie pozdrawia!
Młody mój synu, zły to znak, kto łoże
Próżne zostawia o tak wczesnej porze.
Troska odbywa straż w oczach starego,
A sen tych mija, których troski strzegą;
Ale gdzie czerstwa, wolna od kłopotów
Młódź głowę złoży, sen zawždy przyjsć gotów.
To więc tak ranne twe przybycie zdradza
Jakiś niepokój, któremu snu władza

Ulec musiała. Czy tylko się kładłeś?
Możesz do łóżka i nie zajrzał?

Romeo. Zgadłeś;
Błóżej niż w łóżku przeszły mi godziny.

O. Laurenty. Grzeszniku, pewnieś był u Rozaliny.

Romeo. U Rozaliny? Nie, ojczy; to imię
W pamięci mojej wiecznym snem już drzymie.

O. Laurenty. Brawo, mój synu! Lecz gdzieżeś to bywał?

Romeo. Zaraz ci powiem: próżnobyś zgadywał;
Byłem na balu w domu mego wroga,
Gdziem został ranny, lecz zbójczyni sroga
Czuje cios wzajem przeze mnie zadany,
Tak, że na nasze zobopólne rany
Święty wpływ tylko twej, ojczy, opieki
Poradzić zdoła i dać zbawcze leki.
Po chrześcijańsku, jak widzisz, przemawiam,
Skoro się nawet za mym wrogiem wstawiam.

O. Laurenty. Mów jaśniej, synu; zagadkowa spowiedź
Dwuznaczną także znajduje odpowiedź.

Romeo. Dowiedz się zatem, że anioł kobieta,
Którą ukochał, jest z krwi Kapuleta.
Jego to dziecko i nadzieja cała;
Jak ja ją, tak mnie ona ukochała.
I do jedności, która nas już splata,
Brakuje tylko, byś nas ty dla świata
Stułą zjednoczył. Gdzie, o jakiej dobie
Zejdziem się skrycie i przysięgniem sobie,
Powiem ci, idąc, czcigodny kapłanie;
Błagam cię tylko, niech się to dziś stanie.

O. Laurenty. Święty Franciszku! Cóż to za przemiana!
Toż Rozalina, owa ukochana,
Niczym już dla cię? Miłość więc młodzieży
W oczach jedynie, a nie w sercu leży?
Jezus! Marya! Ileż to solanki
Ściekło z twych oczu dla owej kochanki!
I nadaremnie, bowiem twe zapąły
Wciąż zalewane, wciąż się powiększały.
Jeszcze twych westchnień nie rozwiął Fawoni;
Jeszcze twój dawny jęk w uszach mi dzwoni,
I na twych licach, bladością pokrytych,
Widoczny jeszcze ślad łez nieobmytych,
Wszystko, coś cierpiał z miłosnej przyczyny,
Cierpiałeś tylko gwoli Rozaliny.
A teraz! nie dziw, gdy mdła płeć upadnie,
Kiedy mięczczyźni szwankują tak snadnie.

Romeo. Gdyś kochał tamtą, takżeś nie pochwalał.

O. Laurenty. Nie, żeś ją kochał, lecz żeś za nią szalał.

Romeo. Pogrześć tę miłość kazałeś.

O. Laurenty. Nie w grobie:
By tę pochować, a inną wziąć sobie.

Romeo. Nie łaj mię, proszę; ta, co mi dziś luba,
Miłość mą płaci miłością Cheruba;
Z tamtą inaczej było.

O. Laurenty. Bo odgadła,
Że w rzeczach serca nie znasz abecadła,
Tylko z rutyny czytasz. Pójdź, wietrzniku;
Do sankcyi tego nowego wybryku
Jeden i jeden tylko względ mię skłania:
To jest, że może z tego zawiązania
Wyniknie węzeł, który wasze rody
Zawistne złączy w piękny łańcuch zgody.

Romeo. O! prędeż! pilno mi!

O. Laurenty. *Festina lente!*
Zdradne są kroki za spiesznie podjęte.

SCENA IV.

Ulica.

(Wchodzą: Merkucio i Benwolio).

Merkucio. Gdzież u dyabła ugrzązł Romeo! Czy był tej nocy w domu?

Benwolio. Nie w domu swego ojca przynajmniej; mówiłem z jego służącym.

Merkucio. Ta blada sekutnica Rozalina
Na waryata go wnet wykieruje.

Benwolio. Tybalt, starego Kapuleta krewny,
Pisał do niego list.

Merkucio. Z wyzwaniem, rękę.

Benwolio. Romeo mu odpowie.

Merkucio. Każdy człowiek
Piśmienny może na list odpowiedzieć.

Benwolio. On mu odpowie odpowiednio.

Merkucio. Biedny Romeo! już trup z niego! Zakłuty
czarnemi oczyma białogłowy; przestrelony na wskroś
uszu romansową piosnką; ugodzony w sam rdzeń serca
postrzałem ślepego malca łucznika; potrafiż on Tybaltowi
stawić czoło?

Benwolio. A cóż to takiego Tybalt?

Merkucio. Coś więcej, niż książę kotów; możesz mi wierzyć!
Nieustraszony rębacz, bije się jak z nut, zna czas,
odległość i miarę; pauzuje w sam raz jak potrzeba: raz,
dwa, a trzy to już w pierś. Żaden jedwabny guzik nie
wykręci mu się od śmierci. Duelista to, duelista pierwszej
klasy. Owe nieśmiertelne *passado!* Owe *punto reverso!*
Owe *ha!*

Benwolio. Co takiego?

Merkucio. Niech kaci porwą to plemię śmiesznych, sepleniących,
przesadnych fantastyków, z ich nowokutymi
terminami! Nie jestże to rzecz opłakana, że nas
i obsiadły te zagraniczne muchy, te modne sroki, te
pardonnez-moi, którym tak bardzo idzie o nową formę,
że nawet na starej ławce wygodnie siedzieć nie mogą;
te bąki, co bąkają: *bon! bon!*

(Wchodzi Romeo).

Benwolio. Oto Romeo, nasz Romeo idzie.

Merkucio. Bez mlecza, jak śledź suszony. O! człowieku!
jakżeś się w rybę przedzierzgnął! Teraz go rymy Petrarki
rozczulają. Laura naprzeciw jego bóstwa jest prostą
pomywaczką, lubo tamta miała kochanka, co ją
opiewał; Dydona flądram; Kleopatra cyganką; Helena
i Hero szurgotami i otłukami; Thisbe kopciuchem, lub
czymś podobnym, ale zawsze nie dystygowanem. *Bon-jour,*
signor Romeo! Oto masz francuskie pozdrowienie
na cześć twoich francuskich pantalonów. Pięknie nas
zażyłeś tej nocy.

Romeo. Dzień dobry wam, moi drodzy. Jakżeto was zażyłem?

Merkucio. Pokazałeś nam odwrotną stronę medalu, odwrotną
stronę swego medalu.

Romeo. To się znaczy, że wam zdezerterowałem. Wybacz,
kochany Merkucio; miałem pilny interes, a w takim
przypadku człowiek może zgrzeszyć na polu uprzejmości.

Merkucio. To się znaczy, że w takim przypadku człowiek mógł być zniewolony zgiąć kolana.

Romeo. Ma się rozumieć — z uprzejmości.

Merkucio. Bardzoś zgrabnie trafił w sedno.

Romeo. A ty bardzoś zgrabnie to wyłożył.

Merkucio. Ja bo jestem kwiatem uprzejmości.

Romeo. Jeżeliś ty kwiatem, to moje trzewiki są w kwitjącym stanie.

Merkucio. Brawo! pielęgnuj mi ten dowcip, ażeby, skoro ci się do reszty zedrze podeszwa u trzewików, twój dowcip mógł tam po prostu figurować.

Romeo. O! godny zdartej podeszwy dowcipie! O! figuro pełna prostoty, z powodu swego prostactwa!

Merkucio. Na pomoc, Benwolio! moje koncepta dech tracą.

Romeo. Pejczą je i ostrogą! pejczą je i ostrogą, inaczej nazwę je hetkami.

Merkucio. Jeżeli twój dowcip poluje na dzikie gęsi, to kapituluję; bo on ma więcej kwalifikacji ku temu, niż wszystkie moje umysłowe władze. Czy ja ci się zdaję na to, żebym miał z gęsiami do czynienia?

Romeo. Tyś mi się nigdy na nic nie zdał, wyjąwszy, kiedy miałem do czynienia z gęsiami.

Merkucio. Za ten koncept ugryzę cię w ucho.

Romeo. Chyba udziobiesz!

Merkucio. Twój dowcip jest gorzką konfiturą, dyabelnie ostrym sosem.

[39]

Romeo. Stosownym do gęsi.

Merkucio. To koncept z kozłej skórki, której cał da się rozciągnąć tak, że nim opaszysz całą głowę.

Romeo. Rozciągnę go do wyrazu *głowę*, który połączywszy z *gęsią*, będziesz miał gęsią głowę.

Merkucio. Nie jestże to lepiej, niż jęczeć z miłości? Teraz to co innego; teraz mi jesteś towarzyskim, jesteś Romeem, jesteś tem, czem jesteś; miłość zaś jest podobna do owego gapia, co się szwenda, wywiesiwszy język, szukając dziury, gdzieby mógł palec wścibić.

Romeo. Stój! Stój!

Merkucio. Chcesz, aby się mój dowcip zastanowił w samym środku weny?

Romeo. Z obawy, abyś tej weny zbyt nie rozszerzył.

Merkucio. Mylisz się, właśnie byłem bliski ją ścieśnić, bo jużem był doszedł do jej dna i nie miałem zamiaru dłużej wyczerpywać materii.

Romeo. Patrzcie, co za dziwadła!

(Wchodzi Marta z Piotrem).

Merkucio. Żagiel! żagiel! żagiel!

Benwolio. Dwa, dwa: spodnie i spódnica.

Marta. Piotrze.

Piotr. Słucham.

Marta. Piotrze, gdzie mój wachlarz?

Merkucio. Proszę cię, mój Piotrze, zakryj wachlarzem twarz jejmości, bo z dwojga tego jej wachlarz jest piękniejszy.

Marta. Życzę panom dnia dobrego.

Merkucio. Życzymy ci dobrego południa, piękna signoro.

Marta. Czy to już południe?

Merkucio. Nieinaczej; bo nieczysta ręka wskazówki na kompasie trzyma już południe za ogon.

Marta. Chryste Panie! Cóż to za człowiek z waćpana?

Romeo. Człowiek, którego Pan Bóg skazał na zepsucie.

Marta. Dobrześ pan powiedział, na poczciwość! Nie wie też czasem który z panów, gdziebym mogła znaleźć młodego Romea?

Romeo. Ja wiem czasem, ale młodego Romea znajdziesz waćpani starszym, niż był, kiedyś go szukać zaczęła. Jestem najmłodszy z tych, co noszą to imię w braku gorszego.

Marta. Ach, to dobrze!

Merkucio. Możeż być dobrym to, co jest gorszem?

Marta. Jeżeli waćpan nim jesteś, to radabym z nim pomówić sam na sam.

Benwolio. Zaprosi go na jakiś wieczorynek.

Merkucio. Pośredniczka to Wenery. Huż, ha!

Romeo. Cóż to, czyś kota upatrzył?

Merkucio. Kotlinę, panie, nie kota; i to w starym piecu, nie w polu.

Bodaj to kotlina,
Gdzie siedzi kocina:
Ta nie osmali...
Lecz zmykaj, chudzino,
Przed taką kotliną,
Gdzie dyabeł pali!

Romeo, czy będziesz u ojca na obiedzie? My tam idziemy.

Romeo. Pośpieszę za wami.

Merkucio. Do widzenia, starożytna damo; damo, damo, damo! (*Wychodzą: Merkucio i Benwolio*).

Marta. Tak, tak, do widzenia! Co to za infamis, proszę pana, co się tak poważił rozpuścić cugle swemu grubiaństwu?

Romeo. Jest to panicz zakochany w swym języku, zdolny wypowiedzieć więcej w ciągu jednej minuty, niż milczeć przez cały miesiąc.

Marta. Jeżeli on na mnie co powiedział, dam ja mu, chociażby był zuchwalszy, niż jest, i miał ze sobą dwudziestu sobie podobnych drabów; a jeżeli mi ujdzie, to znajdę takich, co to potrafią. A, hultaj! czy to ja jestem jego kochanicą, jego poniewieradłem! (*Do Piotra*). I ty tu stałeś także i mogłeś ścierpieć, żeby mnie lada gbur używał wedle upodobania za przedmiot swych bezwstydných żartów?

Piotr. Nie widziałem jeszcze, żeby kto używał jejmości wedle upodobania; gdybym był to widział, byłbym był pewnie zaraz giwer wydobył, rękę za to. Umiem się najeżyć tak dobrze, jak kto inny, kiedy mam sposobność po temu i prawo za sobą.

Marta. Dla Boga! tak jestem rozdrażniona, że się wszystko we mnie trzęsie. A, hultaj! Otóż, proszę pana, tak jak powiedziałam, młoda moja pani kazała mi się wywiedzieć o panu; co mi kazała powiedzieć, to sobie zachowuję; ale przede wszystkim oświadczam panu, że jeżelibyś ją osadził na koszu, jak to mówią, bo panienka, o której mówię, jest młodą, i dlatego, gdybyś ją pan wywiódł w pole, byłoby to tak ciężkim psikusem,

jaki tylko młodej panience można wyrzucić.

Romeo. Pozdrów ją waćpani ode mnie, i powiedz, że jej daję *rendez-vous*...

Marta. Poczciwości! oświadczę jej to, oświadczę. Niebożę, nie posiędzie się z radości.

Romeo. Co jej waćpani chcesz oświadczyć? Nie wiesz, co mówić miałem.

Marta. Oświadczę jej, że pan dajesz randewu; co jest, jeżeli się nie mylę, ofiarą godną prawdziwego szlachcica.

Romeo. Powiedz jej, aby, pod pozorem spowiedzi, przyszła za parę godzin do celi Ojca Laurentego: tam ślub weźmiemy. Oto masz waćpani za swoje trudy.

Marta. Nie, panie; ani fenika.

Romeo. No, no, bez ceremonii.

Marta. Za parę godzin więc; dobrze, nie zaniedba się stawić.

Romeo. Waćpani staniesz za murem klasztornym,
Tam ci mój człowiek przyniesie drabinę
Z sznurków skręconą, która mi w noc późną
Do szczytu mego szczęścia wstęp ułatwi.
Bądź zdrowa! Wierność twa znajdzie nagrodę.
Poleć mię swojej młodej pani.

Marta. Niech wam Bóg błogosławi! Ale, ale...

Romeo. Cóż mi waćpani jeszcze powiesz?

Marta. Czy człowiek pański dobry do sekretu?
Bo gdzie się skrycie prowadzą układy,
Tam dwóch już, mówią, za wiele do rady.

Romeo. Ręczę za niego: jest to wierność sama.

Marta. A więc wszystko dobrze. Co też to za miłe stworzenie ta moja panienka! Co to nie wyprawiało, jak było małym! Chryste Panie! Ale, ale, jest tu na mieście jeden pan, niejaki Parys: ten ma na nią dyabli apetyt; ale ona, poczciwina, wolałaby patrzeć na bazyliuszka, niż na niego. Przekomarzam się z nią nieraz i mówię, że ten Parys, to wcale przystojny mężczyzna; wtedy ona, powiadam panu, za każdym razem aż błędnie, zupełnie tak jak ponsowa chusta na słońcu. Proszę też pana, czy rozmaryn i Romeo nie zaczyna się od takiej samej litery?

Romeo. Nieinaczej: jedno i drugie od R.

Marta. Tak i mnie się zdawało, tylko Romeo inne ma zakończenie. Co też ona o tem prawi, to jest o rozmarynie i o panu: radabym, żebyś pan to słyszał.

Romeo. Poleć jej służby moje.

(Wychodzi).

Marta. Uczynię to, uczynię po tysiąc razy. — Piotrze!

Piotr. Jestem.

Marta. Piotrze, naści mój wachlarz i idź przodem.

(Wychodzą).

SCENA V.

Ogród Kapuletów.

(Wchodzi Julia).

Julia. Dziewiąta biła, kiedym ją posłała;

Przyrzekła wrócić się za pół godziny.
Nie znalazła go może? Nie, to nie to.
Słabe ma nogi. Heroldem miłości
Powinnaby być myśl, która o dziesięć
Razy mknie prędzej, niż promienie słońca,
Kiedy z pochyłych wzgórków cień spędzają.
Niedarmo lotne gołębie są w cugach
Bóstwa miłości i niedarmo Kupid
Ma skrzydła z wiatrem idące w zawody.
Już teraz słońce jest w samej połowie
Dzisiejszej drogi swojej; od dziewiątej
Aż do dwunastej trzy już upłynęły
Długie godziny, a jeszcze jej niema.
Gdyby krew miała młodą i uczucia,
Jak piłka byłaby chyżą i lekką,
I słowa moje do mego kochanka,
A jego do mnie, w lot-by ją popchnęły;
Lecz starzy wcześniej są jakby nieżywi;
Jak ołów ciężcy, zimni, więc leniwi.

(Wchodzi Marta i Piotr).

Ha! otóż idzie. I cóż, złota nianiu?
Czyś się widziała z nim? Każ odejść słudze.

Marta. Idź, stań za progiem, Piotrze.

(Wychodzi Piotr).

Julia. Mów, droga, luba nianiu! Ależ przebóg!
Czemu tak smutno wyglądasz? Chociażbyś
Złe wieści miała, powiedz je wesoło;
Jeśli zaś dobre przynosisz, ta mina
Fałszywy miesza ton do ich muzyki.

[43]

Marta. Tchu nie mam, pozwól mi trochę odpocząć;
Ach! moje kości! To był harc nielada!

Julia. Weź moje kości, a daj mi wieść swoją.
Mówże, mów prędzej, mów, nianiuniu droga.

Marta. Co za gwałt! Folguj dla Boga, choć chwilkę,
Czyliż nie widzisz, że ledwie oddycham?

Julia. Ledwie oddychasz, kiedy masz dość tchnienia
Do powiedzenia, że ledwie oddychasz?
To tłumaczenie się twoje jest dłuższe
Od wieści, której zwłokę nim tłumaczysz;
Maszli wieść dobrą czy złą? niech przynajmniej
Tego się dowiem, poczekam, na resztę;
Tylko mi powiedz: czy jest złą, czy dobrą?

Marta. Tak, tak, pięknyś panna wybór zrobiła! pannie
właśnie męża wybierać. Romeo! żal się Boże! Co mi
to za gagatek! Ma wprawdzie twarz gładszą, niż niejeden,
ale oczy, niech się wszystkie inne schowają; co
się zaś tyczy rąk i nóg, i całej budowy, chociaż o tem
niema co wspominać, przyznać trzeba, że nieporównane.
Nie jest to wprawdzie galant całą gębą, ale słodziuchny
jak baranek. No, no, dziewczyno! Bóg pomagaj!
A czy jedliście już obiad?

Julia. Nie. Ale o tem wszystkiem już wiedziałam.
Cóż o małżeństwie naszym mówił? powiedz.

Marta. Ach! jak mnie głowa boli! tak w niej łupie,
Jakby się miała w kawałki rozlecieć.
A krzyż! krzyż! biedny krzyż! niechaj waćpannie
Bóg nie pamięta, żeś mię posyłała,
Aby mi przez ten kurs śmierci przyśpieszyć.

Julia. Doprawdy, przykro mi, że jesteś słabą.
Nianiu, nianiuniu, nianiunieczko droga,
Powiedz mi, co ci mówił mój kochanek?

Marta. Mówił, jak dobrze wychowany młodzian,
Grzeczny, stateczny, a przytem, upewniam,
Pełen zacności. Gdzie waćpanny matka?

Julia. Gdzie moja matka? Gdzież ma być? jest w domu.
Co też nie pleciesz, nianiu: mój kochanek
Mówił, jak dobrze wychowany młodzian,
Gdzie moja matka?

Marta. O, mój miły Jezu!
Takżeś mi Aśćka w ukropie kąpana!
I takąż to jest maść na moje kości?
Bądźże na przyszłość sama sobie posłem.

[44]

Julia. O męki! Co ci powiedział Romeo?

Marta. Masz pozwolenstwo iść dziś do spowiedzi?

Julia. Mam je.

Marta. Śpiesz więc do celi Ojca Laurentego;
Tam znajdziesz kogoś, co-ć pojmie za żonę.
Jak ci jagódki pokraśniały! Czekaj!
Zaraz je w szkarłat zmienię inną wieścią:
Idź do kościoła, ja tymczasem pójdę
Przynieść drabinkę, po której twój ptaszek
Ma się do gniazdka wśliznąć, jak się ściemni.
Jak tragarz, muszę być ci ku pomocy;
Ty za to ciężar dźwigać będziesz w nocy;
Idź; trza mi zjeść co po takim zmachaniu.

Julia. Idę raj posiąść. Adieu, złota nianiu.

(Wychodzą).

SCENA VI.

Cela Ojca Laurentego.

(Ojciec Laurenty i Romeo).

O. Laurenty. Oby ten święty akt był miły niebu,
I przyszłość smutkiem nas nie ukarała.
I zbytciem smaku zabija apetyt.
Miarkuj więc miłość twoją: zbyt skwapliwy
Tak samo spóźnia się, jak zbyt leniwy.

(Wchodzi Julia).

Otóż i panna młoda. Mech najcieńszy
Nie ugiąłby się pod tak lekką stopą.
Kochankom mogłyby do jazdy służyć
Owe słoneczne pyłki, co igrają
Latem w powietrzu; tak lekką jest marność.

Romeo. Amen! lecz choćby przyszedł nawał smutku,
Nie przeciwważyłby on tej radości,
Jaką mię darzy jedna przy niej chwila.
Złącz tylko nasze dłonie świętym węzłem;
Niech go śmierć potem przetnie, kiedy zechce:
Dość, że wprzód będę mógł ją nazwać moją.

O. Laurenty. Gwałtownych uciech i koniec gwałtowny:
Są one nakształt prochu zatlonego,
Co, wystrzeliwszy, gaśnie. Miód jest słodki,
Lecz słodkość jego graniczy z ckliwością

[45]

Julia. Czcigodny spowiedniku, bądź pozdrowion.

O. Laurenty. Romeo, córko, podziękuje tobie
Za nas obydwu.

Julia. Pozdrawiam go również,
By dzięki jego zbytnimi nie były.

Romeo. O! Julio, jeśli miara twej radości
Równa się mojej, a dar jej skreślenia
Większy od mego: to osłódź twym tchnieniem
Powietrze, i niech muzyka ust twoich
Objawi obraz szczęścia, jakie spływa
Na nas oboje w tem błogim spotkaniu.

Julia. Czucie bogatsze w osnowę niż w słowa,
Pyszni się z swojej wartości, nie z ozdób;
Żebracy tylko rachują swe mienie.
Mojej miłości skarb jest tak niezmierny,
Że i pół sumy tej nie zdołam zliczyć.

O. Laurenty. Pójdźcie, załatwim rzecz w krótkich wyrazach,
Nie wprzód będziecie sobie zostawieni,
Aż was sakrament z dwojga w jedno zmieni.

(Wychodzą).

AKT TRZECI.

SCENA I.

Plac publiczny.

(Wchodzi: Benwolio, Merkucio, paż i służdy).

Benwolio. Oddalmy się stąd, proszę cię, Merkucio.
Dzień dziś gorący, Kapuleci krążą;
Jak ich zdybiemy, nie unikniem zajścia,
Bo w tak gorące dni krew nie jest lodem.

Merkucio. Podobnyś do owego burdy, co, wchodząc do
winiarni rzuca szpadę i mówi: *Daj Boże, abym cię nie
potrzebował!* a po wypróżnieniu drugiego kubka dobywa
jej na dobywacza korków bez najmniejszej w świecie
potrzeby.

Benwolio. Masz mię za takiego burdę?

Merkucio. Mam cię za tak wielkiego zawadiakę, jakiemu
chyba równy jest we Włoszech; bardziej zaiste skłonnego
do breweryi, niż do brewiarza.

[46]

Benwolio. Cóż dalej?

Merkucio. Gdybyśmy mieli dwóch takich, tobyśmy wkrótce
nie mieli żadnego, bo jeden-by drugiego zagryzł. Tyś
gotów człowieka napastować za to, że ma w brodzie
jeden włos mniej lub więcej od ciebie. Tyś gotów
napastować człowieka za to, że piwo pije, bo w tem
upatrzysz przytyk do swoich piwnych oczu, chociaż
żadne inne oko, jak piwne, nie upatrzyłoby w tem
przytyku. W twojej głowie tak się lęgną swary, jak
bekasy w ługu, toś też nieraz za to beknął i głowę ci
zmyto bez ługu. Pobijeś raz człowieka za to, że
kaslnął na ulicy i przebudził przez to twego psa,
który się wysypiał przed domem. Nie napastowałeś
raz krawca za to, że wdział na siebie nowy kaftan
w dzień powszedni? kogoś innego za to, że miał stare
wstażki u nowych trzewików? I ty mię chcesz moralizować
za kłótniwość?

Benwolio. Gdybym był tak skory do kłótni, jak ty jesteś,
niktby mi życia na pięć kwadransów nie zaręczył.

Merkucio. Życie twoje przeszłoby zatem bez zaręczyn.

(Wchodzi Tybalt z poplecznikami swymi).

Benwolio. Patrz, oto idą Kapuleci.

Merkucio. Zamknij oczy! Co mi do tego!

Tybalt (do swoich). Pójdźcie tu, bo chcę z nimi się rozmówić.

(Do tamtych).

Mości panowie, słowo.

Merkucio. Słowo tylko?

I samo słowo? Połącz je z czemś drugim,
Z pchnięciem naprzykład.

Tybalt. Znajdziesz mię ku temu
Gotowym, panie, jeśli dasz okazję.

Merkucio. Sam ją wziąć możesz bez mego dawania.

Tybalt. Pan jesteś w dobrej harmonii z Romeem?

Merkucio. W harmonii? Maszli nas za muzykusów!
Jeśli tak, to się nie spodziewaj słyszeć
Czego innego, jedno dysonanse.
Oto mój smyczek: zaraz ci on gotów
Zagrać do tańca. Patrzaj go! w harmonii!

Benwolio. Jesteśmy w miejscu publicznym, panowie;
Albo usuńcie się gdzie na ustronie,
Albo też zimną krwią połóżcie tamę
Tej kłótni. Wszystkich oczy w nas wlepione.

Merkucio. Oczy są na to, ażeby patrzyły;
Niech robią swoje, a my róbmy swoje.

(*Wchodzi Romeo*).

Tybalt. Z panem nic nie mam do mówienia. Oto
Nadchodzi właśnie ten, którego szukam.

Merkucio. Jeżeli szukasz guza, mogę ręczyć,
Że się z nim spotkasz.

Tybalt. Romeo, nienawiść
Moja do ciebie nie może się zdobyć
Na lepszy wyraz jak ten: — jesteś podły.

Romeo. Tybalcie, powód do kochania ciebie,
Jaki mam, tłumi gniew słusznie wzbudzony
Taką przemową. Nie jestem ja podły;
Bądź więc zdrów, widzę, że mię nie znasz.

Tybalt. Smyku,
Nie zatrzasz takim tłumaczeniem obelg
Mi uczynionych: stań więc i wyjm szpadę.

Romeo. Klnę się, żem nigdy obelg ci nie czynił;
Sprzyjam ci owszem bardziej, niżej zdolny
Pomyśleć o tem, nie znając powodu.
Uspokój się więc, zacny Kapulecie,
Którego imię miłsze mi, niż moje.

Merkucio. Spokojna, nędzna, niegodna submisyo!
A la stoccata wnet jej kres położy.

(*Dobywa szpady*).

Pójdź tu, Tybalcie, pójdź tu, dusiszczurze!

Tybalt. Czego ten człowiek chce ode mnie?

Merkucio. Niczego, mój ty kocikrólu, chcę ci wziąć tylko
jedno życie z pomiędzy dziewięciu, jakie masz, abym
się niem trochę popieścił; a za nowym spotkaniem
uskubnąć ci i tamte ośm jedno po drugim. Dalej!
wyciągnij za uszy szpadę z powijaka, inaczej moja
gwiznie ci koło uszu, nim wyciągniesz swoją.

Tybalt. Służę Waćpanu. (*Dobywa szpady*).

Romeo. Merkucio, schowaj szpadę, jak mię kochasz.

Merkucio. Pokażno swoje *passado*.

(*Biją się*).

Romeo. Benwolio,
Rozdziel ich! Wstyďte się, mości panowie!
Wybaczcie sobie. Tybalcie! Merkucio!
Książę wyraźnie zabronił podobnych
Starć na ulicach. Merkucio! Tybalcie!

(*Tybalt odchodzi ze swoimi*).

Merkucio. Zranił mię. Kaduk zabierz wasze domy!
Nie wybrnę z tego. Czy odszedł ten hultaj
I nie oberwał nic?

Benwolio. Jestżeś raniony?

Merkucio. Tak, tak, draśniętym trochę, ale rdzennie.
Gdzie mój paż? Chłopcze, biegnij po chirurga.

(Wychodzi paż).

Romeo. Zbierz męstwo, rana nie musi być wielka.

Merkucio. Zapewne, nie tak głęboka, jak studnia,
Ani szeroka tak, jak drzwi kościelne,
Ale wystarcza w sam raz, ręczę za to.
Znajdziesz mię jutro spokojnym, jak trusia.
Już się dla tego świata na nic nie zdam.
Bierz lichu wasze domy! Żeby taki
Pies, szczur, kot na śmierć zadrapał człowieka!
Taki cap, taki warchoł, taki ciura,
Co się bić umie jak z arytmetyki!
Po kiego czorta ci się było mieszać
Między nas! Zranił mię pod bokiem twoim.

Romeo. Chciałem, Bóg widzi, jak najlepiej.

Merkucio. Benwolio, pomóż mi wejść gdzie do domu.
Słabnę. Bierz lichu oba wasze domy!
One mię dały na strawę robakom:
Będę nią i to wnet. Kaduk was zabierz!

(Wychodzą Merkucio i Benwolio).

Romeo. Ten dzielny człowiek, bliski krewny księcia,
I mój najlepszy przyjaciel, śmiertelny
Poniósł cios za mnie; moją dobrą sławę
Tybalt znieważył; Tybalt, który niema
Godziny jeszcze, jak został mym krewnym.
O, Julio! wdzięki twe mię zniewieściły
I z hartu zwykłej wyzuły mię siły.

(Benwolio powraca).

Benwolio. Romeo, Romeo, Merkucio skonał!
Mężny duch jego uleciał wysoko,
Gardząc przedwcześnie swą ziemską powłoką.

Romeo. Dzień ten fatalny, więcej takich wróży;
Gdy się raz zacznie złe, zwykle trwa dłużej.

(Tybalt powraca).

Benwolio. Oto szalony Tybalt wraca znowu.

Romeo. On żyw! zwycięzca! a Merkucio trupem!
Precz pobłażliwa teraz łagodności!
Płomiennooka furjo, ty mną kieruj!
Tybalcie, odbierz nazad swoje *podły*;
Zwracam ci, co mi dałeś! Duch Merkucia
Wznosi się ponad naszymi głowami,
Dopominając się za swoją twojej.
Ty lub ja, albo oba musim legnąć.

Tybalt. Nikczemny chłystku, tyś mu tu był druhem,
Bądźże i owdzie.

Romeo. To się tym rozstrzygnie.

(Walczą. Tybalt pada).

Benwolio. Romeo, uchodź, oddal się, uciekaj!
Rozruch się wszczyną i Tybalt nie żyje.
Nie stój jak wryty; jeśli cię schwytają,
Książę cię na śmierć skaże; chroń się zatem!

Romeo. Jestem igraszką losu!

Benwolio. Prędejj! prędejj!

(Romeo wychodzi).

Pierwszy obywatel. Gdzie on? Gdzie uszedł zabójca Merkucia?
Zabójca Tybalt w którą uszedł stronę?

Benwolio. Tybalt tu leży.

Pierwszy obywatel. Za mną, mości panie;
W imieniu księcia każę-ć być posłusznym.

(Wchodzą: książe z orszakiem, Monteki i Kapulet z małżonkami swymi i inne osoby).

Książe. Gdzie są nikczemni sprawcy tej rozterki?

Benwolio. Dostojny książe, ja mogę objaśnić
Cały bieg tego nieszczęsnego starcia:
Oto tu leży, przez Romea zgładzon,
Zabójca twego krewnego, Merkucia.

Pani Kapulet. Tybalt! mój krewny! syn mojego brata!
Boże! tak marnie zgładzony ze świata!
O mości książe, błagam twej opieki,
Niech za krew naszą odda krew Monteki.

Książe. Benwolio, powiedz, kto ten spór zapalił?

Benwolio. Tybalt, którego Romeo powalił.
Romeo darmo przekładał, jak próżną
Była ta kłótnia, przypominał zakaz
Waszej Księżęcej Mości, ale wszystkie
Te przedstawienia, uczynione grzecznie,
Spokojnym głosem, nawet w korny sposób,
Nie mogły wpłynąć na zawzięty umysł
Tybalta. Zamiast skłonić się do zgody,
Zwraca morderczą stal w Merkucia piersi,
Który, podobnie uniesiony, ostrze
Odpiera ostrzem i, uszedłszy śmierci,
Śle ją nawzajem Tybaltowi: ale
Bez skutku, dzięki zręczności tamtego.
Romeo woła: »Hola! przyjaciele!
Stójcie! odstąpcie!« i ramieniem szybszem
Od słów rozdziela skrzyżowane klingi,
Wpadając między nich; lecz w tejże chwili
Cios wymierzony z boku przez Tybalta
Przeciął Merkucia życie. Tybalt zniknął;
Wkrótce atoli ukazał się znowu,
Kiedy Romeo już był zemstą zawrzał.
Starli się w okamgnieniu, i nim szpadę
Wyjąć zdołałem, by wstrzymać tę zwadę,
Już męzny Tybalt poległ, wskroś przeszyty
Z ręki Romea, a Romeo uszedł.
Tak się rzecz miała: jeżelim się minął
Z prawdą bodajem ciężką śmiercią zginął.

Pani Kapulet. On jest Montekich krewnym, przywiązanie
Czyni go kłamcą, nie wierz mu, o panie!
Ich tu przynajmniej ze dwudziestu było;
Dwudziestu przeciw jednemu walczyło.
Sprawiedliwości, panie! Kto śmierć zadał,
Słuszna, by śmiercią za to odpowiadał.

Książe. Tybalt ją zadał wprzód Merkuciuszowi,
Romeo jemu; któż słusznie odpowie?

Monteki. Nie mój syn, panie; o, nie wyrzecz tego!
On był Merkucia najlepszym kolegą
I przyjacielem; w tem jedynie zgrzeszył,
Że Tybaltowi nieprawnie przyspieszył
Rygoru prawa.

Książe. I za ten-to błąd
Banitujemy go na zawsze stąd.
Z bliska mię wasze dotknęły niesnaski,
Skoro mój własny dom cierpi z ich łaski
Ale ja takie znajdę środki na nie,
Że wam spór każdy obmierzłym się stanie,
Wszelkie wykręty na nic się nie zdadzą:
Ni łyzy, ni prośby winnym nie poradzą,
Uprzedzam! Niechaj Romeo ucieka,

Bo gdy schwytyany będzie, śmierć go czeka.
Kaźcie stąd zabrać te zwłoki. Łaskawość
Zbrodnią jest, kiedy oszczędza nieprawość.

(*Wychodzą*).

SCENA II.

Pokój w domu Kapuletów.

(Julia sama).

Julia. Pędźcie, ognistokopyte rumaki.
Ku państwowi Feba; oby nowy jaki
Faeton dodał wam bodźca i rączej
Pognał was owdzie, gdzie się szlak dnia kończy!
Wierna kochankom nocy, spuść zasłonę,
By się wznieść mogły oczy w dzień spuszczone,
I w te objęcia niedostrzeżonego
Sprowadź, ach! sprowadź mi Romea mego!
Miłości świeci pod twą czarną krepą
Jej własna piękność, a jeśli jest ślepa,
Tem stosowniejszy mrok dla niej. O nocy!
Cicha matrono, w ciemnej twej karocy
Przybądź i naucz mię niemym wyrazem,
Jak się to traci i wygrywa razem
Wśród gry niewinnej dwojga serc dziewiczych;
Skrój w płaszcz twego zwojach tajemniczych
Krew, co mi do lic bije z głębi łona;
Aż nieświadoma miłość ośmielona
Za skromność weźmie czyn swej świadomości.
Przyjdź, ciemna nocy! Przyjdź, mój dniu w ciemności!
To twój blask, o mój luby, jaśnieć będzie
Na skrzydłach nocy, jak pióro łabędzie
Na grzbiecie kruka. Wstąp, o, wstąp w te progi!
Daj mi Romea, a po jego zgonie
Rozsyp go w gwiazdki! A niebo zapłonie
Tak, że się cały świat w tobie zakocha,
I czci odmówi słońcu. Ach, jam sobie
Kupiła piękny przybytek miłości,
A w posiadanie jego wejść nie mogę;
Nabytą jestem także, a nabywca
Jeszcze mię nie ma! Dzień ten mł nieznośny,
Jak noc, co święto jakowe poprzedza,
Nacierpliwemu dziecku, które nowe
Dostało szaty, a nie może zaraz
W nie się przystroić. A! niania kochana

(*Wchodzi Marta z drabinką sznurową w ręku*).

Niesie mi wieści o nim, a kto tylko
Wymawia imię Romea, ten boski
Ma dar wymowy. Cóż tam, moja nianiu?
Co to masz? Czy to ta drabinka, którą
Romeo przynieść kazał?

Marta. Tak, drabinka!

(*Rzuca ją*).

Julia. Dlaboga! czego załamujesz ręce?

Marta. Ach! on nie żyje, nie żyje! nie żyje!
Biada nam! biada nam! wszystko stracone!
On zginął! on nie żyje! on zabity!

Julia. Możeż być niebo tak okrutnem?

Marta. Niebo
Nie jest okrutnem, lecz Romeo; on to,
On jest okrutnym. O Romeo! któżby
Się był spodziewał! Romeo! Romeo!

Julia. Cóżes za szatan, że tak mię udręczasz?
Taki głos w piekle-by tylko brzmieć winien.

Czyliż Romeo odjął sobie życie?
Powiedz: *tak!* a te trzy litery gorszy
Jad będą miały, niż wzrok bazyliuszka.
Jeżeli takie *tak* istnieje, Julia
Istnieć nie będzie; zawrą się na zawsze
Te usta, które to *tak* wywołały.
Zginą! powiedz: *tak*; jeżeli nie — *nie*;
W krótkich wyrazach zbaw albo mnie zabij.

Marta. Widziałam ranę na me własne oczy.
Boże, zmiłuj się nad nim, tu, tu oto,
Tu w samym środku męskiej jego piersi.
Straszny trup! straszny trup! blady, jak popiół;
Cały zbuczony, cały krwią zbryzgany,
Zgęstłą krwią: ażem wzdrygnęła się, patrząc.

Julia. O pękni, serce! pękni w tym przeskoku
Z bogactw do nędzy! Do więzienia, wzroku!
Już ty nie zaznasz swobody uroku.
Jak nas na ziemi złączył jeden ślub,
Tak niech nas w ziemi złączy jeden grób!

Marta. Tybalcie! mój najlepszy przyjacielu!
Luby Tybalcie! dziarski, walny chłopcze!
Czemuż mi, czemuż przyszło przeżyć ciebie?

[53]

Julia. Cóż to za wichur dmie z dwóch stron przeciwnych?
Romeo zginął? i Tybalt zabity?
Ogłoś więc, straszna trąbo, koniec świata!
Bo gdzież są żywi, gdy ci dwaj nie żyją?

Marta. Tybalt nie żyje, Romeo wygnany.
Romeo zabił go, jest więc wygnany.

Julia. Boże! Romeo przelał krew Tybalta?

Marta. On to, niestety, on, on to uczynił.

Julia. O serce zmii pod kwiecistą maską!
Kryłże się kiedy smok w tak pięknym lochu?
Luby tyranie, anielski szatanie!
Kruku w gołębic pierzach! wilku w runie!
Nikczemny wątku w niebiańskiej postaci!
We wszystkim sprzeczny z tem, czem się wydajesz:
Szlachetny zbrodniu! potępieńcze święty!
O, cóżeś miała do czynienia w piekle,
Natura, kiedyś taki duch szatański
W raj tak pięknego ciała wprowadziła?
Byłaż gdzie książka tak ohydnej treści
W oprawie tak ozdobnej? Trzebaż, aby
Fałsz zamieszkiwał tak przepyszny pałac!

Marta. Niema czci, niema wiary, niema prawdy,
Niema sumienia w ludziach; sama zmienność,
Sama przewrotność, chytrość i obłuda.
Pietrze! dajno mi trochę akwawity.
Te smutki, te zgryzoty, te cierpienia
Robią mię starą. Przeklęty Romeo!
Hańba mu!

Julia. Bodaj ci język oniemiał
Za to przekleństwo! Romeo nie zrodzon
Do hańby; hańba-by wstydem spłonęła
Na jego czole, bo ono jest tronem,
Na którym honor śmiałoby mógł zostać
Koronowanym na monarchę świata.
O, jakże mogłam mu złorzeczyć!

Marta. Chceszże
Zbójcę krewnego twego uniewinniać?

Julia. Mamże potępić mojego małżonka?
O biedny! któżby popieścił twe imię,
Gdybym ja, od trzech godzin twoja żona,
Miała je szarpać? Ależ, niegodziwy,
Za co ty mego zabiłeś krewnego!
Za to, że krewny niegodziwy zabić
Chciał mego męża. Precz, precz, łzy niewczesne!

[54]

Splynie do źródła, które was wydało;
Dań waszych kropel przypada żalowi,
A nie radości, której ją płacicie,
Mój mąż, co Tybalt go chciał zabić, żyje,
A Tybalt, co chciał zabić mego męża,
Śmierć poniósł; w tem pociecha. Czegóż płaczę?
Ha! doszło do mych uszu coś gorszego,
Niż śmierć Tybalta; co mię wskroś przeszło.
Chętnieby o tem zapomniała, ale
To coś wcisnęło się tak w moją pamięć,
Jak karygodny czyn w umysł grzesznika.
Tybalt nie żyje — Romeo wygnany!
To jedno słowo: »wygnany«, zabiło
Tysiąc Tybaltów. Śmierć Tybalta była
Sama już przez się dostatecznym ciosem;
Jeśli zaś ciosy lubią towarzystwo
I gwałtem muszą mieć za sobą świtę,
Dlaczegoż w ślad tych słów: *Tybalt nie żyje!*
Nie nastąpiło: twój ojciec nie żyje,
Lub matka, albo i ojciec i matka?
Żal byłby wtenczas nie tyle ogólny;
Lecz gdy Tybalta śmierć ma za następstwo
To przeraźliwe: *Romeo wygnany!*
O, jednocześnie z tym wykrzykiem Tybalt,
Matka i ojciec, Romeo i Julia,
Wszyscy nie żyją. Romeo wygnany!
Z zbójczego tego wyrazu płynąca
Śmierć nie ma granic, ni miary, ni końca,
I żaden język nie odda boleści,
Jaką to straszne słowo w sobie mieści.
Gdzie moja matka i ojciec?

Marta. Przy zwłokach
Tybalta jęczą i łzy wylewają.
Chcesz tam panienka iść, to zaprowadzę.

Julia. Nie mnie oblewać łzami jego rany:
Moich przedmiotem Romeo wygnany.
Weź tę drabinkę. Biedna ty plecionko!
Ty zawód dzielisz z Romea małżonką;
Obie nas chybił los oczekiwany,
Bo on wygnany, Romeo wygnany!
Ty pozostajesz puścizną jałową,
A ja w panińskim stanie jestem wdową.
Pójdź, nianiu, prowadź mię w małżeńskie łóżce,
Nie mąż, już tylko śmierć w nie wstąpić może.

Marta. Czekaajno, pójdę sprowadzić Romea,
By cię pocieszył. Wiem, gdzie on jest teraz.
Nie płacz: użyjem jeszcze tych plecionek,
I twój Romeo wnet przed tobą stanie.

Julia. O, znajdź go! daj mu w zakład ten pierścionek
I na ostatnie proś go pożegnanie.

(Wychodzą).

SCENA III.

Cela Ojca Laurentego.

(Wchodzi O. Laurenty i Romeo).

O. Laurenty *(wchodząc)*. Romeo! Pójdź tu, pognębiony człeku!
Smutek zakochał się w umyśle twoim,
I poślubiony jesteś niefortunnie.

Romeo. Cóż tam, cny ojczy? Jakież wyrok księcia?
I jakaż dola nieznaną ma zostać
Mą towarzyszką?

O. Laurenty. Zbyt już oswojony
Jest mój syn drogi z takim towarzystwem.
Przynoszę-ć wieści o wyroku księcia.

Romeo. Jakizby mógł być łaskawszy, prócz śmierci?

O. Laurenty. Z ust jego padło łagodniejsze słowo:
Wygnanie ciała, nie śmierć ciała, wyrzekł.

Romeo. Wygnanie? Zmiłuj się, jeszcze śmierć dodaj!
Wygnanie bowiem wygląda okropniej,
Niż śmierć. Zaklinam cię, nie mów: wygnanie.

O. Laurenty. Wygnany jesteś z obrębu Werony,
Zbierz męstwo, świat jest długi i szeroki.

Romeo. Zewnątrz Werony niema, niema świata,
Tylko tortury, czyściec, piekło samo!
Stąd być wygnanym, jest to być wygnanym
Ze świata; być zaś wygnanym ze świata,
Jest to śmierć ponieść; wygnanie jest zatem
Śmiercią barwioną. Mieniać śmierć wygnaniem,
Złotym toporem ucinasz mi głowę,
Z uśmiechem patrząc na ten cios śmiertelny.

[56]

O. Laurenty. O ciężki grzechu! O, niewdzięczne serce!
Błąd twój pociąga z prawa śmierć za sobą:
Księżę, ujmując się jednak za tobą,
Prawo życzliwie usuwa na stronę,
I groźny wyraz: śmierć, w wygnanie zmienia.
Łaska to, i ty tego nie uznajesz?

Romeo. Katusza to, nie łaska. Niebo tu jest,
Gdzie Julia żyje; lada pies, kot, lada
Mysz marna, lada nikczemne stworzenie
Żyje tu w niebie, może na nią patrzeć,
Tylko Romeo nie może. Mdła mucha
Więcej ma mocy, więcej czci i szczęścia,
Niżli Romeo; jej wolno dotykać
Białego cudu, drogiej ręki Julii,
I nieśmiertelne z ust jej kraść zbawienie;
Z tych ust, co pełne westalczej skromności
Bez przerwy płoną i pocałowanie
Grzechem być sądzą; mucha ma tę wolność,
Ale Romeo nie ma: on wygnany.
I mówisz, że wygnanie nie jest śmiercią?
Nie maszli żadnej trucizny, żadnego
Ostrza, żadnego środka nagłej śmierci,
Aby mię zabić, tylko ten fatalny
Wyraz — wygnanie? O księżę, złe duchy
Wyją, gdy w piekle usłyszą ten wyraz:
I tyż masz serce, ty, święty spowiednik,
Rozgrześca grzechów i szczerzy przyjaciel,
Pasy drzeć ze mnie tem słowem: wygnanie?

O. Laurenty. Sentymentalny szaleńcze, posłuchaj!

Romeo. Znowu mi będziesz prawił o wygnaniu.

O. Laurenty. Dam ci broń przeciw temu wyrazowi;
Balsamem w przeciwnościach — filozofia;
W tej więc otuchę czerp, będąc wygnanym.

Romeo. Wygnanym jednak! — o, precz z filozofią!
Czyż filozofia zdoła stworzyć Julię?
Przestawić miasto? Zmienić wyrok księcia?
Nic z niej: bezsilna ona, nie mów o niej.

O. Laurenty. Szaleni są więc głuchymi, jak widzę.

Romeo. Jak mają nie być, gdy mądrzy nie widzą.

O. Laurenty. Dajże mi mówić; przyjm słowa rozsądku.

Romeo. Nie możesz mówić tam, gdzie nic nie czujesz.
Bądź jak ja młodym, posiadź miłość Julii,
Zaślub ją tylko co, zabij Tybalta,
Bądź zakochanym jak ja i wygnanym
A wtedy będziesz mógł mówić; o, wtedy
Będziesz mógł sobie z rozpaczy rwać włosy
I rzucać się na ziemię, jak ja teraz,
Na grób zawczasu biorąc sobie miarę.

[57]

O. Laurenty. Cicho, ktoś puka; ukryj się, Romeo.

Romeo. Nie; chyba para powstała z mych jęków,
Jak mgła, ukryje mię przed ludzkim wzrokiem.

(Kołatanie).

O. Laurenty. Słyszysz? pukają znowu. Kto tam? Powstań,
Powstań, Romeo! Chcesz być wziętym? Powstań;

(Kołatanie).

Wnijdź do pracowni mojej. Zaraz, zaraz.
Cóż to za upór!

(Kołatanie).

Idę, idę, któż to
Tak na gwałt puka? Skąd wy? Czego chcecie?

Marta (zewnątrz). Wpuście mię, wnet się o wszystkim dowiecie.
Julia przysłała mię.

O. Laurenty. Witajże, witaj.

(Wchodzi Marta).

Marta. O! świętobliwy ojczu, powiedz, proszę,
Gdzie jest mąż mojej pani, gdzie Romeo?

O. Laurenty. Tu, na podłodze, łzami upojony.

Marta. Ach, on jest właśnie w stanie mojej pani,
Właśnie w jej stanie.

O. Laurenty. Nieszczęsna sympatio!
Smutne zbliżenie!

Marta. I ona tak leży
Płacząc i łkając, szlochając i płacząc.
Powstań pan, powstań, jeśli jesteś mężem!
O, powstań, podnieś się, przez wzgląd na Julię!
Dlaczego dać się przygnębiać tak srodze?

Romeo. Marto!

Marta. Ach, panie! Wszystko na tym świecie
Kończy się śmiercią.

Romeo. Mówiałaś o Julii?
Cóż się z nią dzieje? O, pewnie mię ona
Ma za mordercę zakamieniałego,
Kiedym mógł naszych rozkoszy dzieciństwo
Splamić krwią, jeszcze tak bliską jej własnej,
Gdzie ona? Jak się miewa i co mówi
Na zawód w świeżo błysłym nam zawodzie?

Marta. Nic, tylko szlocha i szlocha i szlocha;
To się na łóżko rzuca, to powstaje,
To woła: Tybalt!, to krzyczy: Romeo!
I znowu pada.

Romeo. Jak gdyby to imię,
Z śmiertelnej paszczy działa wystrzelone,
Miało ją zabić, tak jak jej krewnego
Zabiła ręka tego, co je nosi.
O! powiedz, powiedz mi, ojczu, przez litość,
W którym zakątku tej nędznej budowy
Mieszka me imię; powiedz, abym zburzył
To nienawistne siedlisko.

(Dobywa miecza).

O. Laurenty. Stój! Wstrzymaj
Dłoń rozpaczliwą! Czy jesteś ty mężem?
Postać wskazuje twoja, że nim jesteś;
Łzy twe niewieście, dzikie twoje czyny
Cechują wściekłość bezrozumną zwierza.
W pozornym mężu ukryta niewiasto!
Zwierz, przybrany w pozór tego dwojga!

Ty mnie w zdumienie wprawiasz. Jakem kapłan!
Myślałem, że masz więcej hartu w sobie.
Tybaltś zabił, chcesz zabić sam siebie.
I przez haniebny ten na siebie zamach
Zabić chcesz także tę, co żyje tobą?
Przecż tak uwłaczasz swemu urodzeniu,
Niebu i ziemi, skoro urodzenie,
Niebo i ziemia ci się śmieją? Wstydz się!
Krzywdzisz swą postać, swą miłość, swój rozum,
Boś ty jak lichwiarz bogaty w to wszystko,
Ale niczego tego nie używasz
W sposób mogący te dary ozdobić.
Kształtna twa postać jest figurą z wosku,
Skoro nie z męską cnotą idzie w parze;
Miłość twa w gruncie czczem krzywoprzysięstwem,
Skoro chcesz zabić tę, którejś ją ślubił.
Twój rozum, chluba kształtów i miłości,
Niezręczny w korzystaniu z tego dwojga,
Jest jak proch w flaszce płochego żołnierza,
Co się zapala z własnej jego winy
I razi tego, którego miał bronić.
Otrząś się, człeku! Julia twoja żyje;
Julia, dla której umrzeć byłeś gotów;
W temeś szczęśliwy. Tybalt chciał cię zabić,
Tyś jego zabił; w tem szczęśliwyś także.
Prawo, grożące ci śmiercią, zamienia
Śmierć na wygnanie, i w temeś szczęśliwy.
Stosy na głowie błogosławieństw dźwigasz,
Szczęście najwabniej wdzięczy się do ciebie,
A ty, jak dziewczka zepsuta, kapryśna,
Fochasz się na tę szczodrotę fortuny.
Strzeż się, bo tacy marnie umierają.
Terazże idź do żony, jak to było
Wprzód umówione, i pociesz niebogę.
Pomnij wyjść jednak przed wart rozstawieniem;
Bo później przejść-byś nie mógł do Mantui,
Gdzie masz przebywać tak długo, aż znajdziem
Czas do odkrycia waszego małżeństwa,
Do pojednania waszych nieprzyjaciół,
Do przebłagania księcia, naostatek
Do sprowadzenia cię nazad, z radością
Dziesięćkroć sto tysięcy razy większą,
Niż terażniejszy twój smutek. Waćpani
Idź naprzód; pozdrów ode mnie swą panią;
I każ jej naglić wszystkich do spoczynku,
Ku czemu żal ich ułatwi namowę,
Romeo przyjdzie niebawem.

Marta. O panie!
Mogłabym całą noc stać tu i słuchać,
Co też to może nauczoność! Biegnę
Upредить moją panią, że pan przyjdiesz.

Romeo. Idź, proś ją, niech się gotuje mię zgromić.

Marta. Oto pierścioneć, który mi kazała
Doręczyć panu. Spiesz się pan, już późno.

(Wychodzi Marta).

Romeo. O, jakże mi ten dar dodał otuchy!

O. Laurenty. Idź już; dobranoc! a pamiętaj
Wyjść jeszcze dzisiaj, nim zaciągną warty,
Albo w przebraniu wyjść jutro o świcie.
Osiądź w Mantui. Jeden z naszych braci
Nosić ci będzie od czasu do czasu
Zawiadomienie o każdym wypadku,
Jaki na twoją korzyść tu się zdarzy.
Daj rękę; późno już, bądź zdrów, dobranoc.

Romeo. Gdyby nie radość, co mię czeka, wczesny
Ten rozdział z tobą byłby zbyt bolesny.
Żegnam cię, ojczec.

(Wychodzą).

SCENA IV.

Pokój w domu Kapuletów.

(Wchodzą: Kapulet, pani Kapulet i Parys).

Kapulet. Tak smutny, panie, dotknął nas wypadek,
Żeśmy nie mieli czasu mówić z Julią.
Krewny nasz, Tybalt, był jej nader drogim,
Nam także, ale rodzim się, by umrzeć.
Dziś ona już nie zejdzie, bo już późno.
Gdyby nie twoje, hrabio, odwiedziny,
Ja sam-bym w łóżku był już od godziny.

Parys. Pora żałoby nie sprzyja zalotom;
Dobranoc, pani, poleć mnie swej córce.

Pani Kapulet. Najchętniej, zaraz jutro ją wybadam;
Na dziś zamknęła się, by żal swój spłakać.

Kapulet. Hrabio, za miłość naszego dziecięcia
Mogę ci ręczyć; mniemam, że się skłoni
Do mych przełożeń, co więcej, nie wątpię.
Pójdź do niej, żono, nim się spać położysz;
Oznajm jej cnego Parysa zamiary
I powiedzże jej, uważasz, iż w środę...
Zaczekaj, cóż to dzisiaj?

Parys. Poniedziałek.

Kapulet. A! poniedziałek! Zawczasie we środę;
Odłóżmy to na czwartek; w ten więc czwartek
Zostanie żoną szlachetnego hrabi.
Będzieszli gotów? Czy ci to dogadza?
Cicho się sprawim; jeden, dwóch przyjaciół...
Gdybyśmy bowiem po tak świeżej stracie
Bardzo hulali, ludzie, widzisz, hrabio,
Mogliby myśleć, że za lekko bierzem
Zgon tak bliskiego krewnego; dlatego
Wezwiem przyjaciół z jakie pół tuzina,
I na tem koniec. Cóż mówisz na czwartek?

Parys. Radbym, o panie, żeby już był jutro.

[61]

Kapulet. To dobrze. Bądź nam zdrow. A więc we czwartek.
Wstąpże do Julii, żono, nim spać pójdziesz;
Przygotuj ją do ślubu. Bądź zdrow, hrabio.
Światła! hej! światła do mego pokoju!
Tak już jest późno, żebyśmy nieledwie
Mogli powiedzieć: tak rano. Dobranoc.

(Wychodzą).

SCENA V.

Pokój Julii.

(Wchodzi Romeo i Julia).

Julia. Chcesz już iść? Jeszcze ranek nie tak bliski,
Słowik to, a nie skowronek się zrywa
I śpiewem przeszył trwożne ucho twoje.
Co noc on śpiewa owdzie na gałązce
Granatu: wierzaj mi, że to był słowik.

Romeo. Skowronek to, ów czujny herold ranku,
Nie słowik; widzisz te zazdrosne smugi,
Co tam na wschodzie złocą chmur krawędzie?
Pochodnie nocy już się wypaliły
I dzień się wspina raźnie na gór szczyty.
Chcąc żyć, iść muszę, lub zostając — umrzeć.

Julia. Owo światło nie jest świtem; jest to

Jakiś meteor od słońca wysłany,
Aby ci służył w noc za przewodnika
I do Mantui rozjaśniał ci drogę;
Zostań więc, nie masz potrzeby się spieszyć.

Romeo. Niech mię schwytają, na śmierć zaprowadzą,
Rad temu będę, bo Julia chce tego.
Nie, ten brzask nie jest zapowiedzią ranku,
To tylko blady odbłask lica Luny;
To nie skowronek, co owdzie piosenką
Bijąc w niebiosy, wznosi się nad nami.
Więcej mię względów skłania tu pozostać,
Niż nagle odejść. O, śmierci, przybywaj!
Chętnie cię przyjmę, bo Julia chce tego.
Cóż, luba? prawda, że jeszcze nie dnieje?

Julia. O, dnieje, dnieje! Idź, spiesz się, uciekaj!
Głos to skowronka brzmi tak przeraźliwie
I niestrojnymi, ostrymi dźwiękami
Razi me ucho. Mówią, że skowronek
Miło wywodzi; z tym się ma przeciwnie,
Bo on wywodzi nas z objęć wzajemnych.
Skowronek, mówią, z obrzydłą ropuchą
Zamienił oczy, o, radabym teraz,
Żeby był także i głos z nią zamienił,
Bo ten głos, w smutnej rozstania potrzebie,
Dzień przywołując, wywołuje ciebie.
Idź już, idź: ciemność coraz to się zmniejsza.

Romeo. A dola nasza coraz to ciemniejsza!

(Wchodzi Marta).

Marta. Pst! pst!

Julia. Co?

Marta. Starsza pani tu nadchodzi.
Dzień świta. Bacność, bo się narazicie!

(Wychodzi).

Julia. O, okno, wpuśćże dzień, a wypuść życie!

Romeo *(wychodząc przez okno).*
Bądź zdrowa! Jeszcze jeden uścisk krótki.

Julia. Już idziesz; o mój drogi! mój milutki!
Muszę mieć co dzień wiadomość o tobie;
A każda chwila równą będzie dobie.
Zgrzybieję licząc podług tej rachuby,
Nim cię zobaczę znowu, o mój luby.

Romeo. Ilekroć będę mógł, tylekroć twoję
Drogą troskliwość pewnie zaspokoję.

(Znika za oknem).

Julia. Jak myślisz, czy się znów ujrzemy kiedy?

Romeo. Nie wątpię o tem, najmilsza, a wtedy
Wszystkie cierpienia nasze kwiatem tkaną
Kanwą do słodkich rozmów nam się staną.

Julia. Boże! przeczuwam jakąś ciężką dołę;
Wydajesz mi się teraz tam na dole,
Jak trup, z którego znikły życia ślady.
Czy mię wzrok myli? Jakiżeś ty blady!

Romeo. I twoja także twarz jak pogrobowa.
Smutek nas trawi. Bądź zdrowa! bądź zdrowa!

Julia *(odstępując od okna).* O losie! ludzie mienią cię niestałym;
Toż więc przez zawiść tylko prześladujesz
Tych, co kochają stale? Bądź niestały,
Bo wtedy będę mogła mieć nadzieję,
Ze go niedługo będziesz zatrzymywał
I wrócisz nazad.

Pani Kapulet *(za sceną).* Julio! czyś już wstała?

Julia. Któż to mię woła? Głos-że to mej matki?
Nie spałaż ona, czy wstała tak rano?
Jakiż niezwykły powód ją sprowadza?

(Wchodzi pani Kapulet).

Pani Kapulet. Jak się masz, Julciu?

Julia. Niedobrze mi, matko!

Pani Kapulet. Wciąż jeszcze płaczesz nad stratą Tybalta?
Chceszże go łzami dobyć z grobu? Choćbyś
Dopięła tego, wskrzesić go nie zdołasz.
Przestań więc: pewien żal może dowodzić
Wielkiej miłości, ale wielkość żalu
Dowodzi pewnej płytkości pojęcia.

Julia. Trudno na taką stratę nie być czułą.

Pani Kapulet. Tak, ale płacząc, czujesz tylko stratę,
Nie tego, po kim płaczesz, moje dziecko.

Julia. Tak czując stratę, mogę tylko płakać.

Pani Kapulet. Przyznaj się jednak, że nie tyle płaczesz
Nad jego śmiercią, jako raczej nad tem,
Że jeszcze żyje ten łotr, co go zabił.

Julia. Jaki łotr, pani?

Pani Kapulet. Tenci łotr, Romeo.

Julia. On i łotr żyją daleko od siebie.
Przebac mu, Boże, tak jak ja przebaczam.
A przecież niema na świecie człowieka,
Któryby bardziej ciążył mi na sercu.

Pani Kapulet. Że mimo swoich niecnót jeszcze żyje.

Julia. Że go nie mogę dosiąć tym ramieniem,
Radabym sama módcz się na nim zemścić.

Pani Kapulet. Dozna on zemsty; nie troszcz się i nie płacz,
Zlecę ja pewnej osobie w Mantui,
Gdzie ten wygnany renegat się schronił,
Dać mu traktament tak zniewalający,
Że wnet pośpieszy za Tybaltem. Wtedy
Będiesz, spodziewam się, zaspokojoną.

Julia. Nie zaspokoi mię Romeo nigdy,
Dopóki tylko żyć będzie; tak silnie
Boleść po krewnym rozjątrza mi serce.
O, pani, jeśli tylko znajdziesz kogo,
Co się podejmie podać mu truciznę,
Ja ją przyrzadzę, by po jej wypiciu
Romeo zasnąc mógł jak najspokojniej.
Jakże mię korci słyszeć jego imię,
I nie módcz zaraz dostać się do niego,
By przywiązaniu memu do Tybalta
Dać odwet na tym, co go zamordował.

Pani Kapulet. Znajdź ty sposoby, ja znajdę człowieka.
Terazże mam ci udzielić, dziewczyno,
Wesołych nowin.

Julia. Wesołe nowiny
Pożądanymi są w tak smutnych czasach.
Jakaż tych nowin treść, kochana matko?

Pani Kapulet. Masz troskliwego ojca, moje dziecię;
On to, ażeby smutek twój rozproszyć,
Umyślił i wyznaczył dzień na radość,
Tak dla cię jak i dla mnie niespodzianą.

Julia. Cóż to za radość, matko? mogęż wiedzieć?

Pani Kapulet. Ta a nie inna, że w ten czwartek z rana
Piękny, szlachetny, młody hrabia Parys
Ma cię uczynić szczęśliwą małżonką
W świętego Piotra kościele.

Julia. Na kościół
Świętego Piotra i Piotra samego!
Nigdy on, nigdy tego nie uczyni!
Żdumiewa mię ten pośpiech. Mam iść za męża,
Nim ten, co moim ma być mężem, zaczął
Starać się o mnie, nim mi się dał poznać?
Proszę cię, matko, powiedz memu ojcu,
Że jeszcze nie chcę iść za męża, a gdybym
Koniecznie miała iść, to bym wolała
Pójść za Romea, który, jak wiesz dobrze,
Jest mi z całego serca nienawistny,
Niż za Parysa. Ha! to mi nowina!

(Wchodzi Kapulet i Marta).

Pani Kapulet. Oto twój ojciec; powiedz mu to sama:
Zobaczmy, jak on przyjmie twą odpowiedź.

Kapulet. Kiedy dzień kona, niebo spuszcza rosę;
Ale po skonie naszego krewnego
Pada ulewny deszcz. Cóż to, dziewczyno?
Czy jesteś cebrem? Ciągle jeszcze we łzach?
Ciągle wezbranie? W małej swej istotce
Przedstawiasz obraz łodzi, morza, wiatru:
Bo twoje oczy, jakby morze, ciągle
Falują łzami; biedne twoje ciało
Jak łódź żegluje po tych słonych falach.
Wiatrem nakoniec są westchnienia twoje,
Które, ze łzami walcząc, a łzy z niemi,
Jeżeli nagle nie nastąpi cisza,
Strzaskają twoją łódkę. I cóż, żono?
Czyś jej zamiary nasze objawiła?

[65]

Pani Kapulet. Tak; ale nie chce i dziękuje za nie.
Bodajby była z grobem zaślubiona!

Kapulet. Co? Jak to? Nie chce? Nie chce? Nie chce, mówisz?
Nie jest nam wdzięczną? Nie pyszni się z tego?
Nie poczytuje sobie za szczyt szczęścia,
Niegodna, żeśmy jej najgodniejszego
Z werońskich chłopców wybrali za męża?

Julia. Nie pysznię z tego, ale wdzięczna za to.
Pyszna, zaiste, nie mogę być z tego,
Co nienawidzę; lecz wdzięczna być winnam
I za nienawiść w postaci miłości.

Kapulet. Cóż to znów? cóż to? Logika w spódnicy!
Pyszna i wdzięczna, i zasię niewdzięczna,
Jednak nie pysznię! Słuchaj, świdrzygłówko!
Nie dziękuj wdzięcznie, ni się pysznię z niepyszna,
Lecz zbierz swe sprytne klepki na ten czwartek,
By pójść z Parysem do świętego Piotra;
Albo cię każę zawlec tam na smyczy.
Rozumiesz? Ty białaczko! ty szuswale;
Lalko lojowa!

Pani Kapulet. Wstydz się! czyś oszalał?

Julia. Błagam cię, ojczy, na klęczkach cię błagam,
Pozwól powiedzieć sobie tylko słowo.

Kapulet. Precz, wszetecznico! dziewczko nieposłuszna!
Ja ci powiadam: gotuj się w ten czwartek
Iść do kościoła, lub nigdy, przenigdy
Na oczy mi się więcej nie pokazuj.
Nic nie mów, ani piśnij, ani trunij:
Palce mię świerzbią. Myśleliśmy, żono,
Że nas za skąpo Bóg pobłogosławił,
Dając nam jedno dziecko; teraz widzę,
Że i to jedno jest jednym za wiele,
I że w niej mamy bicz Boży. Precz, plucho!
Cyganko jakaś!

Marta. Błogosław jej, Boże!
Jegomość grzeszy, tak fukając na nią.

Kapulet. Doprawdy! Czy tak sądzi wasza mądrość?

[66]

Idź waść pytlować gębą z kumoszkami.

Marta. Nie mówić bluźnierstw.

Kapulet. Terefere kuku!

Marta. Czyż mówić zbrodnia?

Kapulet. Milcz, stara trajkotko!
Schowaj swój rozum na babskie sejmiki:
Tu niepotrzebny.

Pani Kapulet. Za gorący jesteś.

Kapulet. Na miłość boską, to trzeba oszaleć!
W dzień, w noc, wieczorem, rano, w domu, w mieście,
Sam, w towarzystwie, we śnie i na jawie
Ciągle i ciągle rozmyślałem tylko
O jej zameściu; i teraz, gdy znalazł
Dlań oblubieńca książęcego rodu,
Pana rozległych majątków, młodego,
Ukształconego, uposażonego
Dokolusienka, jak mówią, w przymioty,
Jakich się można od mężczyzny żądać;
Trzeba, ażeby mi jedna smarkata,
Mazgajowata gęś odpowiadała:
*Nie chcę iść za mąż, nie mogę pokochać,
Jestem za młoda, wybaczcie mi, proszę.*
Nie chcesz iść za mąż? a to nie idź, zgoda;
Ale mi nie włącz w oczy; żeruj sobie,
Gdzie tylko zechcesz, byle nie w mym domu.
Zważ to, pamiętaj; nie zwykłem żartować.
Czwartek za pasem; przyłóż dłoń do serca;
Namyśl się dobrze; będzieszli powolna,
Znajdziesz dobrego we mnie przyjaciela;
A nie, to marniej, żebrz, jęcz, mrzyj pod płotem;
Bo, jak Bóg w niebie, nigdy cię nie uznam
Za moje dziecko i z mojego mienia
Nawet źdźbło nigdy ci się nie oberwie.
Com rzekł, dotrzymam. Wiesz, że jestem słowny.

(Wychodzi).

Julia. Nie masz litości w niebie, które widzi
Całą głębokość mojego cierpienia?
Ty mię przynajmniej nie odpychaj, matko!
Zwiecz to małżeństwo na miesiąc, na tydzień,
Albo mi pościel oblubieńcze łożo
W tymże grobowcu, w którym Tybalt leży.

Pani Kapulet. Nie mów nic do mnie, nic ci nie odpowiem;
Rób, co chcesz, wszystko mi to obojętne.

[67]

(Wychodzi).

Julia. O, Boże! O ty, moja karmicielko!
Poradź mi, powiedz, jak temu zaradzić?
Mój mąż na ziemi, moja wiara w niebie;
Jakżeż ta wiara ma na ziemię wrócić,
Nim mój mąż sam mi ją powróci z nieba
Po opuszczeniu ziemi? Daj mi radę.
Niestety! Że też nieba mogą nękać
Tak mdłą istotę jak ja! Nic nie mówisz?
Nie maszże żadnej pociechy, żadnego
Na to lekarstwa?

Marta. Mam-ci, a to takie:
Romeo na wygnaniu, i o wszystko
Można iść w zakład, że cię już nie przyjdzie
Nagabać więcej, chyba ukradkiem.
Ponieważ tedy rzecz tak stoi, sądzę,
Ze nic lepszego nie masz do zrobienia,
Jak pójść za hrabię. Dalipan, to wcale,
Co się nazywa, przystojny mężczyzna.
Romeo kołek przy nim; orzeł, pani,
Nie ma tak pięknych, żywych, bystrych oczu,
Jak Parys. Nazwij mię hetką-pętelką,
Jeśli nie będziesz z kretelem szczęśliwa

W tem nowem stadle; bo ono jest stokroć
Lepsze, niż pierwsze; a choćby nie było,
To i tak tamten pierwszy już nie żyje;
Tak, jakby nie żył; przynajmniej dla ciebie,
Skoro, choć żyje, nie masz zeń pożytku.

Julia. Czy z serca mówisz?

Marta. Ba, i z duszy całej!
Jeśli nie z serca i nie z duszy, to je
Przeklnij oboje.

Julia. Amen!

Marta. Na co amen?

Julia. Bardzoś mi przez to dodała otuchy.
Idźże i powiedz teraz mojej matce,
Ze naraziwszy się na gniew rodzica,
Poszłam do celi ojca Laurentego,
Odprawić spowiedź i wziąć rozgrzeszenie.

Marta. O, idę; to mi pięknie i roztropnie.

(Wychodzi).

Julia. Stara niecnoto! Zdradziecki szatanie!
Cóż jest niegodniej, cóż jest większym grzechem:
Czy tak mię kusić do krzywoprzysięstwa?
Czy lżyć małżonka mego temi usty,
Którymi tyle razy go pod niebo
Wznosiłam, chwając? Precz, uwodzicielko!
Serce me odtąd zamknięte dla ciebie.
Pójdę poprosić ojca Laurentego,
By mi dał radę, a jeśli żadnego
Na tę przeciwność nie będzie sposobu,
Znajdę moc w sobie wstąpienia do grobu.

(Wychodzi).

[68]

AKT CZWARTY.

SCENA I.

Cela Ojca Laurentego.

(Ojciec Laurenty i Parys).

O. Laurenty. W ten czwartek zatem? to bardzo pośpiesznie.

Parys. Mój teść, Kapulet, życzy sobie tego:
A ja powodu nie mam rzecz odwlekać.

O. Laurenty. Nie znasz pan, mówisz, uczuć swojej przyszłej;
Krzywa to droga, ja takich nie lubię.

Parys. Bez miary płacze nad śmiercią Tybaltą,
Małom jej przeto mówił o miłości,
Bo Wenus w domu łez się nie uśmiecha,
Ojciec jej, mając to za niebezpieczne,
Że się tak bardzo poddaje żalowi,
W mądrości swojej przyśpiesza nasz związek,
By zatamować źródło tych łez, które
W odosobnieniu cieką za obficie,
A w towarzystwie prędej mogą ustać.
Znasz teraz, ojcze, powód tej nagłości.

O. Laurenty. *(na str.)* Obym mógł nie znać powodów do
zwłoki!

(Głośno). Patrz, hrabio, oto twa przyszła nadchodzi.

(Wchodzi Julia).

Parys. Szczęsny traf dla mnie, piękna przyszła żono!

Julia. Być może, przyszłość jest nieodgadnioną.

Parys. To *może ma* być już w ten czwartek z rana.

Julia. Co *ma* być, będzie.

O. Laurenty. Prawda to zbyt znana.

Parys. Przysłaś się, pani, spowiadać przed ojcem?

Julia. Mówiąc to, panu-bym się spowiadała.

Parys. Nie zaprzecz przed nim, pani, że mię kochasz.

Julia. Że *jego* kocham, to wyznam i panu.

Parys. Wyznasz mi także, tuszę, że *mnie* kochasz.

Julia. Gdyby tak było, większą-by to miało
Wartość wyznane z daleka, niż w oczy.

Parys. Biedna! Izy bardzo twarz twą oszpeciły.

Julia. Nie wielkie przez to odniosły zwycięstwo;
Dosyć już była ubogą przed niemi.
Nie jest to krzywda, panie, ale prawda,
I w oczy sobie ją mówię.

Parys. Twarz twoja
Do mnie należy, a ty jej uwłaczasz.

Julia. Nie przeczę, moja bowiem była inna.
Maszli czas teraz, mój ojczcie duchowny,
Czyli też mam przyjść wieczór po nieszporach?

O. Laurenty. Nie brak mi teraz czasu, smętne dziecię.
Racz, panie hrabio, zostawić nas samych.

Parys. Niech mię Bóg broni świętym obowiązkom
Stać na przeszkodzie! Julio, w czwartek z rana
Przyjdę cię zbudzić. Bądź zdrowa tymczasem
I przyjm pobożne to pocałowanie.

(*Wchodzi*).

Julia. O! zamknij, ojczcie, drzwi; a jak je zamkniesz,
Przyjdź płakać ze mną. Niema już nadziei!
Niema ratunku! Niema ocalenia!

O. Laurenty. Ach, Julio! Znam twą boleść; mnie samego
Nabawia ona prawie odurzenia.
Słyszałem, i nic tego nie odwlecze,
Że w przyszły czwartek wziąć masz ślub z tym hrabią.

Julia. Nie mów mi, ojczcie, że o tym słyszałeś;
Chyba że powiesz, jak tego uniknąć,
Jeżeli w swojej mądrości nie znajdziesz
Żadnego na to środka, to przynajmniej
Postanowienie moje nazwij mądrym,
A w tym sztylcie zaraz znajdę środek.
Bóg złączył moje i Romea serce,
Ty nasze dłonie; i nim ta dłoń, świętą
Pieczęcią twoją z Romeem spojona,
Inny akt stwierdzi, nim to wierne serce
W zdradzieckim buncie odda się innemu,
To ostrze zada śmierć sercu i dłoni.
Daj mi więc jaką radę zaczerpniętą
Z długoletniego doświadczenia twego,
Albo bądź świadkiem, jak ten nóż rozstrzygnie
Sprawę pomiędzy mną a moim losem,
Wnet zaradzając temu, czego ani
Wiek, ani rozum nie mógł doprowadzić
Do rozwiązania zgodnego z honorem.
Mów prędko; pilno mi wstąpić do grobu,
Jeśli mi powiesz, że niema sposobu.

O. Laurenty. Stój, córko! Mam ja w myśli pewien środek,
Wymagający równie rozpacziwej
Determinacyi, jak jest rozpacziwem
To, czemu chcemy zapobiec. Jeżeli,
Dla uniknienia małżeństwa z Parysem,

Masz siłę woli odjąć sobie życie,
To się odważysz, snadź, na coś takiego,
Co, będąc tylko podobnem do śmierci,
Uwolni cię od hańby, jakiej chciałaś
Ujść przez zadanie jej sobie naprawdę,
Masz li odwagę, to-ć wskaże ten środek.

Julia. O! każ mi, zamiast być żoną Parysa,
Skoczyć ze szczytu wieży; w rozbójniczych
Gościć jaskiniach, w legowiskach węzów;
Zamknij mię w jedną klatkę z niedźwiedziami,
Albo mię wepchnij nocą do kostnicy,
Zewsząd pokrytej szczątkami szkieletów,
Poczerniałemi kośćmi i czaszkami,
Każ mi wejść żywcem w grób świeżo kopany
I w jeden całun z trupem się obwinąć;
Wszystko to dawniej dreszcz budziło we mnie,
Ale bez trwogi uczynię to zaraz,
Bylebym tylko pozostała czystą
Mażonką mego lubego kochanka.

O. Laurenty. Słuchaj więc: idź do domu, bądź wesołą,
Przystań na związek z hrabią. Jutro środa;
Staraj się jutro na noc zostać sama;
Niech Marta nie śpi ten raz w twym pokoju.
Masz tu flaszeczkę: weźmiesz ją do łóżka,
I filtrowany likwor ten wypijesz;
A wnet po wszystkich żyłach cię przebiegnie
Usypiający dreszcz, który owładnie
Wszelką żywotną funkcją; wszystkie pulsa
Wstrzymają w tobie swe zwyczajne bicie;
Ni dech, ni ciepło nie wskaże, że żyjesz.
Róże ust twoich i policzków zbledną,
Jak popiół; oczu zasłony zapadną,
Jak gdy dłoń śmierci zakrywa dzień życia;
Každy twój członek, pozbawiony władzy,
Zdrętwieje, zstęgnie, zziębnie jak u trupa.
I w tym pozornym stanie nagłej śmierci
Zostawać będziesz czterdzieści dwie godzin,
Wtedy się ockniesz jak ze snu błęgiego.
Gdy więc nazajutrz z rana narzeczony
Przyjdzie cię zbudzić, znajdzie cię umarłą;
Poczem, jak każe zwyczaj, przystrojona
W godowe szaty, w odsłoniętej trumnie,
Złożoną będziesz pod owem sklepieniem,
Gdzie leżą wszyscy ze krwi Kapuletów.
Uwiadomiony tymczasem przeze mnie
O naszym planie Romeo przybędzie;
Wraz ze mną czekać będzie w owym lochu
Na twe ocknienie i tej samej nocy
Uprowadzi cię skrycie do Mantui.
To cię uchroni od hańby grożącej,
Jeśli brak woli lub niewieścia bojaźń
Od wykonania tego cię nie wstrzyma.

Julia. O, daj mi, daj mi! nie mów o bojaźni!

O. Laurenty. Masz, idź, bądź niewzruszoną i szczęśliwą
W tem przedsięwzięciu! Wyprawię natychmiast
Jednego z naszych braci do Mantui,
Z listem do twego męża.

Julia. O nadziejo!
Ty mi bądź bodźcem, a hasłem Romeo!
Bądź zdrów, mój ojczu!

(Odchodzi).

[71]

[72]

SCENA II.

Pokój w domu Kapuletów.

(Wchodzą: Kapulet, pani Kapulet, Marta i służdy).

Kapulet (*do służącego*). Proś te osoby, co tu są spisane.

(*Służący wychodzi*).

A waść dwudziestu biegłych zbierz kucharzy.

Drugi służący. Nie będzie zły ani jeden, jaśnie panie, bo się przekonam wprzód o każdym, czy umie sobie oblizywać palce.

Kapulet. A to na co?

Drugi służący. Zły to kucharz, jaśnie panie, co nie oblizuje sobie palców; o którym się więc przekonam, że tego nie umie, tego nie sprowadzę.

Kapulet. Ruszaj! (*Wychodzi służący*).

Wątpię, czy wszystko na czas wygotuję.

Bodaj cię! Prawdaż to, że Julia poszła

Do ojca Laurentego?

Marta. Poszła, panie.

Kapulet. To dobrze; może on co na niej wskóra.

Cięta, uparta to skóra na buty.

(*Wchodzi Julia*).

Marta. Patrz pan, jak raźnie wraca od spowiedzi.

Kapulet. No, sekutnico, gdzieżeś to bywała?

Julia. Gdzie mię żałować nauczono, panie,

Za grzech uporu i nieposłuszeństwa

Naprzeciw woli twojej. Świętobliwy

Kapłan Laurenty kazał mi się rzucić

Do twych nóg i o przebaczenie prosić.

Przebacz mi, ojcze! będę już uległa.

Kapulet. Niech tam kto pójdzie prosić pana hrabię:

Jutro mieć muszę spleciony ten węzeł.

Julia. Spotkałam hrabię w celi Laurentego

I okazałam mu miłość, jak mogłam,

Nie przekraczając granicy skromności.

Kapulet. To co innego; tak, to dobrze, powstań;

Tak być powinno; tak córce przystoi.

Prosić tu hrabię, żeby przyszedł zaraz.

Dalipan, święty to człek z tego mnicha:

Słusznie mu całe miasto cześć oddaje.

Julia. Marto, pójdź ze mną do mego pokoju.

Wszak mi pomożesz przymierzać przyborów,

Jakie na jutro uznasz za stosowne?

Pani Kapulet. Po co dziś? jutro będzie dosyć czasu.

Kapulet. Idź z nią waść: jutro pójdziem do kościoła.

(*Julia z Martą wychodzi*).

Pani Kapulet. Nie wiem, czy zdążym z przygotowaniami:

Już wieczór.

Kapulet. Nie troszcz się; dojrzę wszystkiego,

I wszystko będzie dobrze, za to ręczę.

Idź do Juleczki, pomóż jej się przybrać.

Ja się tej nocy nie położę; będę

Na ten raz pełnił urząd gospodyni.

Hej, służba! Cóż to? wszyscy się rozeszli?

Mniejsza z tem, pójdę sam hrabię uprzedzić

O zaszłej zmianie. Lekko mi na sercu,

Ze się ten kozioł przecie opamiętał.

(*Wychodzą*).

[73]

Pokój Julii.

(Wchodzi Julia i Marta).

Julia. Tak, ten strój wezmę. Ale, złota nianiu,
Proszę cię, zostaw mię na tę noc samą;
Bo dużo muszę pacierzy odmówić
Dla uproszenia sobie względów niebios
Nad moim stanem, jak wiesz, pełnym grzechu.

(Wchodzi Pani Kapulet).

Pani Kapulet. Takeś zajęta? Mamże ci dopomóżdż?

Julia. Nie, pani; jużeśmy we dwie wybrały,
Co mi na jutro może być potrzebnem.
Pozwól, bym teraz sama pozostała,
I niechaj Marta spędzi tę noc z tobą.
Pewnam, że wszyscy macie dość roboty,
Przy tym tak nagłym obchodzie.

Pani Kapulet. Dobranoc!
Połóż się, spocznij; potrzebujesz tego.

(Wychodzą: pani Kapulet i Marta).

Julia. Dobranoc! Bóg wie kiedy się zobaczym.
Zimny dreszcz trwogi na wskroś mię przejmuje,
I jakby mrozi we mnie ciepło życia.
Zawołam na nie, by ochłonać nieco;
Nianiu! I pocóż tu ona? Straszliwy
Ten czyn wymaga właśnie samotności.
Ha! pójdź flakonie!
Gdyby jednakże ten płyn nie skutkował?
Miałabym gwałtem z hrabią być złączona?
Nie, nie; ucieczka w tem: leż tu w odwodzie.

(Kładzie na stole sztylet).

A gdyby też to miała być trucizna,
Którą mi ksiądz ten zręcznie śmierć chce zadać,
By ujść zarzutu, że dał ślub kobiecie,
Którą już pierwszej zaślubił z kim innym?
Toby być mogło; ale nie, tak nie jest,
Bo jego świętość jest wypróbowana,
I nawet myśli tej nie chcę przypuszczać.
Lecz gdybym w grobie się ocknęła pierwszej,
Nim mię Romeo przyjdzie oswobodzić?
To byłoby okropne!
Nie udusiłabym się wśród tych sklepień,
Gdzie nigdy zdrowe nie wnika powietrze,
I nie umarłabym wprzód, nim Romeo
Przyjdzie na pomoc? A choćbym i żyła,
Czyliżby straszny wpływ nocy i śmierci,
Którą dokoła będę otoczona,
Obok wrażenia, jakie sprawiać musi
Samaż miejscowość tego sklepionego
Starożytnego lochu, w którym kości
Zmarłych mych przodków od lat niepamiętnych
Nagromadzone leżą: kędy świeżo
Złożony Tybalt gnije pod całunem;
I kędy nocą o pewnych godzinach,
Duchy, jak mówią, odbywają schadzki;
Niestety! czyliżby prawdopodobnie
To wszystko, gdybym wcześniej się ocknęła—
A potem zapach trupi, krzyk podobny
Do tego, jaki wydaje ów korzeń
Ziela pokrzyku, gdy się go wyrzywa;
Krzyk wprawiający ludzi w obłąkanie,—
Czyliżby wszystko to, w razie ocknienia,
Nie pomieszało mi zmysłów? Czyliżbym
Po szalonemu nie igrała wtedy
Z kośćmi mych przodków? nie poszła się pieścić
Z trupem Tybalta? i w tem rozstrojeniu
Nie rozbłtałabym sobie rozpaczliwie
Głowy puszczelą którego z pradziadów,
Jak pałką? Patrzcie! patrzcie! zdaje mi się,

[74]

[75]

Że duch Tybalta widzę ścigający
Romea za to, że go wygnał z ciała.
Stój! stój, Tybalcie!

(Przytyka flakon do ust).

Do ciebie, mój luby,
Spełniam ten toast zbawienia lub zguby.

(Wypija napój i rzuca się na łóżko).

SCENA IV.

Sala w domu Kapuletów.

(Wchodzi pani Kapulet i Marta).

Pani Kapulet. Weź te półmiski i wydaj korzeni.

Marta. Piekarz o pigwy woła i daktyle.

(Wchodzi Kapulet).

Kapulet. Śpieszcie się, śpieszcie! Już drugi kur zapiał;
Poranny dzwonek ozwał się: to trzecia,
Dojrzyj ciast, moja Marto; nie szczędź przypraw.

Marta. Co to za wścibstwo! Idźże się pan przespać.
Dalipan, jutro się nam rozchorujesz
Z tego niewczasu.

Kapulet. Ani krzty! Do licha!
Nie wysypiałem się dla spraw mniej ważnych,
A przecież nigdy nie zachorowałem.

Pani Kapulet. Wiem-ci ja dobrze, wiem: umiał jegomość
Swojego czasu myszkować; lecz teraz
Ja czuwam nad tem, abyś pan nie czuwał.

(Wychodzą pani Kapulet i Marta).

Kapulet. Zazdrosna sztuka!

(Wchodzą służdy z różnymi, koszami i drzewem).

Hej! co tam niesiecie?

Pierwszy sługa. Rzeczy do kuchni, ale nie wiem jakie.

Kapulet. Śpiesz się.

(Wychodzi służący).

Idź wasze suchszych szczap narąbać;
Piotr ci kloc wskaże po temu.

Drugi Sługa. Jeżeli
O kloca idzie, to dość mnie samego;
Nie potrzebuję się zwracać do Piotra.

(Wychodzi).

Kapulet. Masz słuszność. Żywo! Dalipan, już dnieje,
I hrabia będzie tu zaraz z muzyką.
Tak przyrzekł.

(Słychać muzykę).

Otóż idzie; już go słyszać.
Hej! Żono! Marto! Chodźcie tu! Hej! Marto!

(Wchodzi Marta).

Idź, obudź Julkę, ubierz ją co żywo,
Ja pogawędzę tymczasem z Parysem.
Spiesz się, nie marudź; pan młody już przyszedł.
Co tchu się zwijaj.

(Wychodzi).

SCENA V.

Pokój Julii. Julia w łóżku.

(*Wchodzi Marta.*)

Marta. Panienko! Julciu!—Jak się to zasnęło!—
Wstawaj, gołąbku! Wstawaj! Wstydz się, śpiochu!
Panienko! duszko! rybko!—Ani mrumru!—
Chcesz, widzę, wyspać się za cały tydzień,
Jakbyś wiedziała, że ci hrabia Parys
Następnej nocy nie da oka zmrużyć.
Odpuść mi, Panie, amen! Jak śpi smacznie!
Muszę ją jednak zbudzić.—Julciu! Julciu!
Niechno cię hrabia Parys tak zastanie,
To się dopiero zerwiesz.—Cóż to? w sukni?
Jużes ubrana i znów się pokładłaś?
Dosyć już tego! Julciu! Panno Julio!—
Ha! przez Bóg żywy! Na pomoc! na pomoc!
Ona nie żyje! O, ja nieszczęśliwa!
Po co mi było się rodzić?—Na pomoc!
Choć trochę akwawity!—Panie! Pani!

(*Wchodzi pani Kapulet.*)

Pani Kapulet. Co to za hałas?

Marta. O dniu niefortunny!

Pani Kapulet. Mów, co się stało?

Marta. Patrz, pani.

Pani Kapulet. O, nieba!

O, moje dziecię! o, moja pociecho!
Wstań, odżyj, albo umrę razem z tobą!
Na pomoc! wołaj pomocy!

(*Wchodzi Kapulet.*)

Kapulet. Co za guzdralstwo! Pan młody już czeka.

Marta. Ona nie żyje; rozstała się z życiem!
O, dniu żałosny!

Pani Kapulet. O dniu opłakany!
Ona nie żyje, nie żyje, nie żyje!

Kapulet. Puśćcie mię, niech zobaczę... Jak lód zimna;
Krew w niej zastygła; członki jej zdrętwiały...
Dawno już życie z tych ust uleciało.
Śmierć ją zwarzyła, jak mróz najpiękniejszy
Pierwiosnek w maju. Nieszczęsny ja starzec!

Marta. O niefortunny dniu!

Pani Kapulet. O, dniu boleści!

Kapulet. Śmierć ta, niszcząca wszystkie me nadzieje,
Głos mi tamuje i zamyka usta.

(*Wchodzi O. Laurenty i Parys z muzykantami.*)

O. Laurenty. Czy panna młoda już jest w pogotowiu
Iść do kościoła?

Kapulet. Iść, ale nie wrócić.
O, synu, w wilię dnia twojego ślubu
Śmierć zaślubiła twą oblubienicę.
Patrz, oto leży ten kwiat w jej uścisku.
Śmierć jest mym zięciem, śmierć jest mym dziedzicem,
Umrę i wszystko jej oddam, bo wszystko
Oddaje śmierci, kto oddaje ducha.

Parys. Tak dawnom wzdychał do tego poranku,
I takież widok czekał mię u mety!

Pani Kapulet. Dniu nienawistny, przeklęty, ohydny,
Stokroć obmierzły, jakiemu równego
W obiegu swoim czas jeszcze nie widział!
Jedno mieć tylko, jedno biedne dziecko,

Jedną uciechę i jedną pociechę,
I tę zabiera śmierć nielitościwa!

Marta. O smutny, smutny dniu! o dniu żałosny!
Najopłakańszy, najniefortunniejszy,
Jaki widziałam w życiu kiedykolwiek!
O, dniu! o, smutny dniu! O, dniu żałosny!
Nie było nigdy jeszcze dnia takiego.
O! stokroć smutny dniu, stokroć żałosny.

Parys. Okrutna, sroga, świętokradzka śmierci!
Tyś mię podeszła, obdarła, zgnębiła,
Przez ciebiem niebo stracił, okrutnico!
O Julio! luba! życie! już nie życie,
Niemniej jednakże luba i po śmierci!

[78]

Kapulet. Zawistny, twardy, niecny, zbójczy losie!
Po cóż ci, po co było tak tyrańsko
Wniwecz obracać naszą uroczystość?
O, moje dziecko! raczej duszo moja,
Nie moje dziecko; bo dziecko jest trupem;
I wraz z niem cała pociech mych ostoja,
Cały wdzięk życia stał się śmierci łupem!

O. Laurenty. Przestańcie! Rozpacz nie leczy rozpaczy.
Nadobne dziecię to było własnością
Zarówno nieba jak i waszą; niebo
Zabrało swoją część; tem lepiej dla niej:
Wyście nie mogli waszej części ziemskiej
Ustrzedz od śmierci, ale część jej lepszą
Niebo zachowa w wiekuistym życiu.
Jej wywyższenie było szczytem waszych
Życzeń i dążeń; W niem zakładaliście
Swoj raj na ziemi, i płaczecie teraz
I rozpaczacie, widząc ją wzniesioną
Ponad obłoki do istnego raju?
O, zła to miłość jęczeć z żalu wtedy,
Kiedy tym, których kochamy, jest dobrze.
Nie ta dziewica dobrze poszła za mąż,
Co długie lata przeżyła w zamęściu,
Lecz ta, co młodo zamężną umiera.
Połóżcie tamę łzom i, umaiwszy
To piękne ciało liśćmi rozmarynu,
Kaźcie je, wedle zwyczaju, niebawem
W świątecznych szatach zanieść do kościoła.
Świętymi wprowadzie są boleści prawa,
Przecież rozsądek z łez się naigrawa.

Kapulet. Cośmy na gody poprzysposabiali,
To musi teraz posłużyć na pogrzeb:
Weselna uczta zamieni się w stypę,
Dźwięk strun w jęk dzwonów, pieśni w smętne treny,
Mirtowy wieniec martwą skroń otoczy,
Słowem, wszystko się w opak przeistoczy.

O. Laurenty. Wyjdźcie stąd państwo, i ty, hrabio, także.
Niech się gotuje każdy odprowadzić
Te piękne zwłoki na wieczny spoczynek.
Snadź niebo na was o coś zagniewane;
Nie jątrzcież jego gniewu jeszcze gorzej
Oporem przeciw świętej woli Bożej.

[79]

(Wychodzą: Kapulet, pani Kapulet, Parys i O. Laurenty).

Pierwszy muzykant. Trzeba nam podobno schować dudy
w miech i wynieść się za drzwi.

Marta. Tak, tak, schowajcie swoje instrumenty,
Pocziwi ludzie, niema tu co robić.

Druugi muzykant. Może-ć się jeszcze co znajdzie.

(Wchodzi Piotr).

Piotr. Zagrajcie mi na basetli, panowie muzykanci, zagrajcie
mi na basetli, jeżeli mi dobrze życycie.

Pierwszy muzykant. Dlaczego na basietli?

Piotr. Bo moja dusza gra teraz na drumli. Zagrajcie mi co smętnie skoczego dla rozweselenia.

Pierwszy muzykant. Daj nam waść pokój; nie pora teraz do gęźby.

Piotr. Nie chcecie zatem?

Muzykanci. Nie.

Piotr. Czekajcie, zapłacę wam za to.

Pierwszy muzykant. Czem takim?

Piotr. Nie brzęczącą monetą, jak mi Bóg miły! ale bitą monetą: monetą godną rzępołów.

Pierwszy muzykant. To my się waćpanu równą monetą odpłacimy: monetą godną lokajów.

Piotr. Wprzód ja wam lokajską klingą zagram po brzuchu.

Drugi muzykant. Schowaj waćpan swój rożen, a wydobądź lepiej swój dowcip.

Piotr. Strzeżcie się ostrza mego dowcipu, bo was przeszyje na wylot. Baczość!

(Śpiewa).

Gdy z piersi płynie jęk,
A serce żal rozkrwawia,
Muzyki srebrny dźwięk...
Dlaczego *srebrny dźwięk*? Dlaczego *muzyki srebrny dźwięk*?
Cóż waść na to, mości prymusie gajdo?

Pierwszy muzykant. Jużci dlatego, że srebro ma dźwięk miły.

Piotr. Brawo! a waść co na to, mości klawicymbale?

Drugi muzykant. Dlatego, sądzę, że muzykanci grają za srebro.

Piotr. Brawo także! A waść co o tem sądzisz, mości kaleczy-uchu?

[80]

Trzeci muzykant. Nie wiem doprawdy, co o tem sądzić.

Piotr. No, to ja ci powiem: *Muzyki srebrny dźwięk* mówi się dlatego, że takie jak wy niedołęgi rzadko kiedy złota za muzykę dostają.

(Wychodzi, śpiewając).

Muzyki srebrny dźwięk
Natychmiast ulgę sprawia.

Pierwszy muzykant. Cóż to za bezczelny łotr z tego hultaja?

Drugi muzykant. Pal go kaci! Zejdźmy tam na dół wmieszać się między orszak żałobny i czekać, rychło co spadnie z półmiska.

(Wychodzą).

AKT PIĄTY.

SCENA I.

Mantua. Ulica.

Wchodzi Romeo).

Romeo. Jeżeli można ufać sennym wróżbom,

Wkrótce mię czeka jakaś wieść radosna.
Król mego Iona oddycha swobodnie,
I duch mój przez dzień cały niezwyczajnie
Lekkim nad ziemię wznosi się polotem.
Śniłem, że moja ukochana przyszła
I że znalazła mię nieżywym (dziwny
Sen, co pozwala myśleć umarłemu!),
Lecz ona swymi pocałowaniem
Tyle tchu wlała w martwe moje usta,
Żem nagle odżył i został cesarzem.
Ach, jakże słodką jest miłość naprawdę,
Kiedy jej mara taką rozkosz sprawia!

(Wchodzi Baltazar).

Wieści z Werony!—Cóż tam, Baltazarze?
Czy mi przynosisz list od Laurentego?
Co robi Julia? Czy zdrow jest mój ojciec?
Jak się ma Julia? Po raz drugi pytam,
Bo nie ma złego, jeśli jej jest dobrze.

[81]

Baltazar. Wszystko więc dobrze, bo jej już źle nie jest,
Ciało jej leży w lochach Kapuletów,
A duch jej gości między aniołami.
Widziałem, jak ją złożono do sklepień,
I wziąłem pocztę, aby o tem panu
Donieść czempredzej. Przebacz pan, że taką
Złą wieść przynoszę; wszakże uwiadamiać
Pana o wszystkim byłem w obowiązku.

Romeo. Maż to być prawdą? Zgaśnijcie więc, gwiazdy!
Wszak wiesz, gdzie mieszkam? Przynieś mi papieru
I atramentu, idź potem na pocztę
Zamówić konie. Wyjeżdżam tej nocy.

Baltazar. Wybacz pan, ale tak go nie zostawię;
Wyglądasz blado, ponuro i wzrok twój
Coś niedobrego zapowiada.

Romeo. Cicho
Mylisz się; zostaw mię, zrób, com kazał.
Czy nie masz listu od księdza?

Baltazar. Nie, panie.

Romeo. Mniejsza mi o to. Idź zamówić konie:
Wkrótce pospieszę za tobą.

(Wychodzi Baltazar).

Tak, Julio!
Tej jeszcze nocy spocznę przy twym boku;
O środek tylko idzie.—O, jak prędko
Zły zamiar wnika w myśl zrotpaczonego!
Gdzieś niedaleko stąd mieszka aptekarz;
Przed paru dniami widziałem go, pomnę,
Jak zasępiony, w podartem odzieniu,
Przebierał zioła; zapadłe miał oczy,
Ciało od wielkiej nędzy jak wiór wyschłe.
W nikczemnym jego sklepiku żółw wisiał,
Wypchany aligator obok szczątków
Dziwnego kształtu ryb; na jego półkach
Leżała tu i ówdzie zbieranina
Próżnych flasz, słoików, zielonych czerepów,
Pęcherzów, stęchłych nasion; resztki sznurków
I zapleśniałe kawałki lukrecyi.
Na widok tego pomyślałem sobie:
Komuby była potrzebna trucizna,
Której w Mantui sprzedaż gardłem karzą,
Niechajby przyszedł do tego hołysza,
On-by dostarczył mu jej. Myśl ta była,
Niestety! wróżbą mej potrzeby własnej;
Sam w niej dziś jestem i tenże sam człowiek
Z potrzeby będzie musiał jej zaradzić.
Jeżeli się nie mylę, tu on mieszka;
Z powodu święta kram jego zamknięty.—
Hej! aptekarzu!

[82]

(Wchodzi aptekarz).

Aptekarz. Któż to woła takim
Donośnym głosem?

Romeo. Zbliź się tu, człowieku.
Widzę, że jesteś w niezamożnym stanie;
Weź te czterdzieści dukatów, a daj mi
Drachmę trucizny takiej, coby mogła
Po wszystkich żyłach rozejść się od razu
I nienawistne życie odjąć temu,
Co jej zażyje; coby tak gwałtownie
Wygnała oddech z piersi, jak gwałtownie
Lontem dotknięty proch wypędza pocisk
Z czeluści działa.

Aptekarz. Mam ja taki środek;
Ale w Mantui prawo śmiercią karze
Każdego, co się waży go udzielić.

Romeo. Tak bardzo jesteś biedny, tak cię srodze
Los upośledza i boisz się umrzeć?
Głód z twych lic, z oczu patrzy niedostatek;
Łatana nędza wisi na twym grzbiecie;
Świat ci nie sprzyja, ani prawo świata,
Bo świat nie daje prawa być bogatym;
Drwij więc z praw, przyjm to i przestań być biednym.

Aptekarz. Ubóstwo, a nie chęć skłania mnie uledz.

Romeo. Ubóstwo twoje też, nie chęć opłacam.

Aptekarz. Weź pan to, rozczyn w jakimkolwiek płynie
I płyn ten wypij, a choćbyś miał siłę
Trzydziestu ludzi, wnet wyzioniesz ducha!

Romeo. Oto masz złoto, tę truciznę zgubną
Dla duszy ludzkiej, która więcej zabójstw
Na tym obmierzłym świecie dokonywa,
Niż owe marne preparata, których
Pod karą śmierci sprzedać ci nie wolno.
Nie ty mnie, ja ci sprzedałem truciznę.
Bądź zdrow: kup strawy i odziej się w mięso.—
Kordyale, nie trucizno, pójdź mi służyć
U grobu Julii, bo tam cię mam użyć.

(Rozchodzą się).

[83]

SCENA II.

Cela O. Laurentego.

(O. Laurenty sam).

Brat Jan *(za sceną).* Otwórz, wielebny ojczy franciszkanie.

O. Laurenty. Toć nie czyj inny głos jak brata Jana.

(Otwiera drzwi).

Witaj z Mantui! Cóż Romeo? Masz-li
Ustną odpowiedz jego, czy na piśmie?

(Wchodzi Brat Jan).

Brat Jan. Kiedy za jednym bosym zakonnikiem
Naszej reguły, który miał iść ze mną,
I był przy chorym, poszedłem na miasto
I jużem znalazł go, miejscy pachołcy,
Podejrzewając, żeśmy byli w domu
Tkniętym zarazą, opieczętowali
Drzwi i nie chcieli nas puścić na zewnątrz.
Nie mogłem się więc udać do Mantui.

O. Laurenty. Któż tedy zaniósł mój list do Romea?

Brat Jan. Nikt go nie zaniósł—oto jest; nie mogłem

Ani go posłać do Mantui, ani
Wam go odesłać, tak nas pilnowano.

O. Laurenty. Nieszczęsny trafie! ten list był tak ważny!
Niedoręczenie go może fatalne
Skutki sprowadzić. Biegnij, bracie Janie;
Postarajno się gdzie o drąg żelazny
I tu go przynieś.

Brat Jan. Natychmiast przyniosę.

(Wychodzi).

O. Laurenty. Muszę czempredzej spieszyć do grobowca.
W ciągu trzech godzin Julia się przebudzi.
Gniewać się na mnie będzie, żem Romea
Nie uwiadomił o tem, co się stało;
Ale napiszę do niego raz jeszcze
I tu ją skryję do jego przybycia.
Biedny ty prochu: w grobie już za życia!

(Wychodzi).

[84]

SCENA III.

Cmentarz; na nim grobowiec rodziny Kapuletów.

(Wchodzi Parys z Paziem, niosącym kwiaty i pochodnię).

Parys. Daj mi pochodnię, chłopcze, i idź z Bogiem.
Lub zgaś ją, nie chcę, żeby mię widziano.
Idź się położyć owdzie pod cisami
I ucho przyłóż do ziemi, a skoro
Usłyszysz czyje kroki na cmentarzu,
Którego ryty grunt łatwo je zdradzi,
Wtedy zagwizdnij na znak, że ktoś idzie.
Daj mi te kwiaty. Idź, zrób, jakem kazał.

Paź. Strasznie mi będzie pozostać samemu
Wpółśród cmentarza; jednakże spróbuję.

(Oddala się).

Parys. Drogi mój kwiecie, kwieciem posypuję
Twe oblubieńcze łożo; drogi grobie,
Który w obrębie swoim przechowujesz
Najdoskonalszy wzór utworu Boga!
Uroczu Julio, towarzyszeko niebian!
Przyjm tę ostatnią ofiarę ode mnie,
Com cię za życia wielbił i po śmierci
Czcią niewygasła świecę twój grobowiec.

(Paź gwizdże).

Chłopiec mój daje hasło; ktoś się zbliża.
Czyżaż to stopa śmie nocą tu zmierzać
I ten żałobny mój przerywać obrzęd?
Z pochodnią nawet! Odstąpmy na chwilę.

(Oddala się).

(Wchodzi Romeo i Baltazar z pochodnią, oskardem, i t. p.).

Romeo. Podaj mi oskard i drąg. Weź to pismo;
Oddasz je memu ojcu jak najraniej.
Daj no pochodnię. Co bądź tu usłyszysz,
Albo zobaczysz, pamiętaj, jeżeli
Miłe ci życie, pozostać z daleka
I nie przerywać biegu mej czynności.
W to łożo śmierci wejść chcę częścią po to,
Aby zobaczyć tę, co w niem spoczywa,
Lecz głównie po to, aby zdjąć z jej palca
Szacowny pierścień, który mi do czegoś
Ważnego nieodbicie jest potrzebny.
Idź więc, zastosuj się do moich życzeń.
Gdybyś zaś płochą zdjęty ciekawością

[85]

Wrócił podglądać dalsze moje kroki,
Na Boga, wszystkie kości-bym ci roztrząsał
I posiał niemi ten niesyty cmentarz.
Umysł mój dziko jest usposobiony,
Niepowstrzymaniej i nieubłaganiej,
Niż głodny tygrys lub wzburzone morze.

Baltazar. Odejdę, panie, i będę-c posłuszny.

Romeo. Okażesz mi tem przyjaźń. Weź ten worek,
Pocziwy chłopcze, bądź zdrów i szczęśliwy.

Baltazar. Bądź co bądź, stanę tu gdzie na uboczu,
Bo mu zły jakiś zamiar patrzy z oczu.

(Oddala się).

Romeo. Czarna pieczaro, o! ty wewnątrz śmierci,
Tuczne najdroższym na tej ziemi szczątkiem,
Otwórz mi swoją zardzewiałą paszczę,
A ja ci nową zertwę rzucę za to.

(Odbija drzwi grobowca).

Parys. To ten wygnany, zuchwały Monteki,
Co zamordował Tybalta, po którym
Żal, jak mniemają, sprowadził śmierć Julii;
I on tu przyszedł knuć jeszcze zamachy
Przeciw umarłym; muszę go przytrzymać.

(Postępuje naprzód).

Spuść świętokradzką dłoń, niecny Monteki!
Możeż się zemsta aż za grób rozciągać?
Skazany zbrodniu, aresztuję ciebie;
Bądź mi posłuszny i pójdź; musisz umrzeć.

Romeo. Muszę zaprawdę, i po tom tu przyszedł.
Młodzieńcze, nie drażń człowieka w rozpacz;
Zostaw mię, odejdz; pomyśl o tych zmarłych
I zadrzyj. Błagam cię na wszystkie względy,
Nie wal nowego grzechu na mą głowę,
Przyprowadzając mię do pasyi; odejdz!
Na Boga, życzę ci lepiej, niż sobie;
Bom ja tu przyszedł przeciw sobie zbrojny.
O! odejdz, odejdz! żyj i powiedz potem:
»Z łaski szaleńca cieszę się żywotem.«

Parys. Za nic mam wszelkie twoje przełożenia
I aresztuję cię jako złoczyńcę.

Romeo. Wyzywasz moją wściekłość, broń się zatem.

(Walczą).

Paż. O nieba! biją się, biegnę po wartę.

(Wychodzi).

Parys (padając). Zabity jestem. O, jeśli masz litość,
Otwórz grobowiec i złóż mię przy Julii.

(Umiera).

Romeo. Stanie-c się zadość. Lecz któż to jest taki?
To hrabia Parys, Merkucia plemiennik!
Cóż to mi w drodze prawil mój służący?
Lecz wtedy moja nieprzytomna dusza
Uwagi na to nie zwróciła; Parys,
Mówił, podobno miał zaślubić Julię.
Czy on to mówił? czy mi się to śniło?
Czyli też jestem w obłąkaniu myśląc,
Że jego wzmianka o Julii tak brzmiała?
Daj mi uścisnąć twą dłoń, o, ty w jedną
Księgę niedoli ze mną zapisany!
Złożę twe zwłoki w tryumfalnym grobie.
W grobie?—nie, młoda ofiario, nie w grobie,
W latarni raczej, bo tu Julia leży;
A blask jej wdzięków zmienia to sklepienie
W przybytek światła. Spoczywaj w pokoju,
Trupie, rękami trupa pogrzebiony!

Mówią, że nieraz ludzie bliscy śmierci
Miewali chwile wesołe; ich stróż
Zwą to ostatnim przedśmiertnym wyblaskiem;
Coś podobnego i u mnie się zdarza?—
Julio! kochanko moja! moja żono!
Śmierć, co wyssała miód twojego tchnienia,
Wdzięków twych zatrzyć nie zdołała jeszcze.
Nie jesteś jeszcze zwyciężoną: karmin,
Ten sztandar wdzięków, nie przestał powiewać
Na twoich licach i bladej swej flagi
Zniszczenie na nich jeszcze nie zatknęło.
Tybalcie, tyż to śpisz pod tym całunem?
Mogęż czem lepszym zadość ci uczynić,
Jak, że tą ręką, co zabiła ciebie,
Przetnę dni tego, co był twoim wrogiem?
Przebac mi, przebac, Tybalcie! Ach, Julio!
Jakżeś ty jeszcze piękna! Mamże myśleć,
Że bezcielesna nawet śmierć ulega
Wpływowi miłości? że chudy ten potwór
W ciemnicy tej cię trzyma jak kochankę?
Bojąc się tego, zostanę przy tobie,
I nigdy, nigdy już nie wyjdę z tego
Pałacu nocy; tu, tu mieszkać będę
Pośród twojego orszaku—robactwa.
Tu sobie stałą założę siedzibę,
Gdy z tego ciała znużonego światem
Otrząsnę jarzmo gwiazd zawistnych. Oczy,
Spojrzyjcie po raz ostatni! ramiona,
Po raz ostatni zegnijcie się w uścisk!
A wy, podwoje tchu, zapieczętuście
Pocałowaniem akt sojuszu z śmiercią,
Na wieczne czasy mający się zawrzeć!
Pójdź, ty niesmaczny, cierpki przewodniku!
Blady sterniku, pójdź rzucić o skały
Falami życia skołatana łódkę!
Do ciebie, Julio! (*Pije*). Walny aptekarzu!
Płyn twój skutkuje. Całując—umieram.

(Umiera).

(*Wchodzi O. Laurenty z przeciwnej strony cmentarza, z latarnią, drągiem żelaznym i rydlem*).

O. Laurenty. Święty Franciszku, wspieraj mię! Jak często
O takiej porze stare moje stopy
O głązy grobów potraçały! Kto tu?
Któż to tak późno obcuje z zmarłymi?

Baltazar. Przyjacielu, który was dobrze zna, ojczcie.

O. Laurenty. Bóg z tobą! Powiedz mi, mój przyjacielu,
Co znaczy owa pochodnia świecąca
Chyba robakom i bezocznym czaszkom?
Nie tlejeż ona w grobach Kapuletów?

Baltazar. Tam właśnie; jest tam i mój pan, któremu
Sprzyjacie, ojczcie.

O. Laurenty. Kto taki?

Baltazar. Romeo.

O. Laurenty. Jak dawno on tam jest?

Baltazar. Od półgodziny.

O. Laurenty. Pójdź ze mną, bracie, do tych sklepień.

Baltazar. Nie śmiem;
Bo mi pan kazał odejść i straszliwie
Zagroził śmiercią, jeśli tu zostanę
I kroki jego ważyć się podglądać.

O. Laurenty. Zostań więc, ja sam pójdę. Drzę z obawy,
Czy się nie stało co nieszczęśliwego.

Baltazar. Gdym drzymał, leżąc owdzie pod cisami,
Marzyło mi się, że mój pan z kimś walczył

I że pokonał tamtego.

O. Laurenty. (*postępując naprzód*). Romeo!
Na miłość boską, czyjaż to krew broczy
Kamienne wniście do tego grobowca?
Czyjeż to miecze samopas rzucone
Leżą u tego siedliska pokoju?

(*wchodzi do grobowca*).

Romeo! błady!—Parys! i on także!
I krwią zalany? Ach! cóż za fatalność
Tak opłakany zrządziła wypadek!—
Julia się budzi.

Julia (*budząc się i podnosząc*). O, pocieszycielu!
Gdzie mój kochanek? Wiem, gdzie być powinnam,
I tam też jestem; lecz gdzie mój Romeo?

(*Hałas za sceną*).

O. Laurenty. Cóż to za hałas? Julio, wyjdźmy z tego
Mieszkania śmierci, zgrozy i zniszczenia.
Potęga, której nikt z nas się nie oprze,
W niwecz zamiary nasze obróciła.
Pójdź: twój mąż leży martwy obok ciebie.
I Parys także. Pójdź; pójdź, zaprowadzę
Do monasteru świętych siostr zakonnych.
Nie zwłócz, nie pytaj, bo warta nadchodzi.
Pójdź, biedna Julio! (*Znowu hałas*). Nie mogę już czekać.

(*Wychodzi*).

Julia. Idź z Bogiem, starcze; idź, ja tu zostanę.
Cóż to jest? Czara w zaciśniętej dłoni
Mego kochanka? Truciznę więc zażył!
O, skąpiec! Wypił wszystko; ani kropli
Nie pozostawił dla mnie! Przytknę usta
Do twych kochanych ust, może tam jeszcze
Znajdzie się jaka odrobina jadu,
Co mię zabije w upojeniu błogim. (*Całuje go*).
Twe usta ciepłe.

Dowódcz warty (*za sceną*). Gdzie to? pokaż, chłopcze.

Julia. Idą; czas kończyć. (*Chwytając sztylet Romea*).
Zbawczy puginale!
Tu twoja pochwa. (*Przebija się*). Tkwij w tym futerale.

(*Pada na ciało Romea i umiera*).

(*Wchodzi warta z pazim Parysa*).

Paź. Tu, tu, w tem miejscu, gdzie płonie pochodnia.

Dowódca. Ziemia zboczona: obejdźcie w krąg cmentarz
I przytrzymajcie, kogo napotkacie.

(*Wychodzi kilku ludzi z warty*).

Smutny widoku! tu hrabia zabity,
Tu Julia we krwi pływa, jeszcze ciepła,
Tylko co zmarła: ona, co przed dwoma
Dniami w tym grobie była pochowana.
Idźcie powiedzieć o tem księciu; śpieszcie,
Wy do Montekich, wy do Kapuletów,
A wy odbądźcie przegląd w innej stronie.

(*Wychodzi kilku innych wartowników*).

Widzimy miejsce, gdzie zaszła tu zgroza,
Lecz w jaki ona sposób miała miejsce,
Tego nie mogę pojąć bez objaśnień.

(*Wchodzi kilku innych wartowników z Baltazarem*).

Pierwszy wartownik. Oto Romea sługa, znaleźliśmy
Go na cmentarzu.

Dowódca. Niech będzie pod strażą,
Dopóki księżę nie nadejdzie.

(Wchodzi kilku innych wartowników, prowadząc O. Laurentego).

Drugi wartownik. Oto mnich jakiś drżący i płaczący; Odebraliśmy mu ten drąg i rydel, Kiedy się bokiem cmentarza wykradał.

Dowódca. To jakiś ptaszek; trzymajcie go także.

(Wchodzi księżę ze swym orszakiem).

Księżę. Co za nieszczęście o tak rannej porze
Sen nasz przerwało i aż tu nas wzywa?

(Wchodzi Kapulet, pani Kapulet i inne osoby).

Kapulet. Jakież być może powód tego zgielku?

Pani Kapulet. Lud po ulicach wykrzykuje: Julia!
Parys! Romeo!, i jedni przez drugich
Tłumnie tu dążą do naszego grobu.

Księżę. Cóż to za postrach rozruch ten sprowadza!
Odpowiadajcie!

Dowódca. Miłościwy panie!
Oto zabity leży hrabia Parys!
Romeo martwy i Julia wprzód zmarła,
A teraz ciepła, z puginałem w piersi.

Księżę. Szukajcie, śledźcie sprawców tego mordu.

Dowódca. Oto mnich jakiś i Romea sługa,
Których tu moi ludzie przytrzymali,
I którzy mieli przy sobie narzędzia
Do odbijania grobów.

Kapulet. O, nieba! żono, patrz, jak ją krew broczy!
Puginał zbłądził z drogi;—oto bowiem
Pochwa od niego wisi przy Montekim;
Zamiast w nią trafić, trafił w pierś mej córki.

[90]

Pani Kapulet. Niestety! widok ten, jak odgłos dzwonu,
Ostrzega starość mą o chwili zgonu.

(Wchodzi Monteki i inne osoby).

Księżę. Monteki, wcześniej wstałeś, aby ujrzeć
Nadziei swoich wcześniejszy upadek!

Monteki. Ach! miłościwy księżę, żona moja
Zmarła tej nocy z tęsknoty za synem;
Jakież cios jeszcze niebo mi przeznaczać?

Księżę. Patrz, a zobaczysz!

Monteki. O, niedobry synu!
Jak się ważyłeś w grób uprzedzić ojca?

Księżę. Zamknijcie usta żalowi na chwilę,
Póki zagadki tej nie rozwiążemy
I nie zbadamy jej źródła i wątku:
Wtedy sam stanę na skarg waszych czele
I będę waszej boleści heroldem.
Stawcie, na kogo pada podejrzenie.

O. Laurenty. Ja to, o panie! lubo najmniej zdolny
Do popełnienia czegoś podobnego,
Jestem, ze względu na okoliczności,
Poszlakowany najprawdopodobniej
O dzieło tego okropnego mordu;
Staję więc jako własny oskarżyciel
I jako własny obrońca w tej sprawie,
By się potępić i usprawiedliwić.

Księżę. Mów, czegoś świadom.

O. Laurenty. Zwięźle rzecz opowiem,
Bo tchnień mych pasmo krótszem jest zaiste,
Niż długa powieść. Romeo, którego
Zwłoki tu leżą, był małżonkiem Julii,
A Julia była prawą jego żoną;
Jam ich zaślubił, a dniem tajemnego
Ich połączenia był ów dzień nieszczęsnej

Tybalta śmierci, która nowożeńca
Wygnała z miasta; i ten to był powód
Cierpienia Julii, nie żal po Tybalcie.

(Do Kapuletów).

Wy, chcąc oddalić od niej chmury smutku,
Zaręczyliście ją i do małżeństwa
Z hrabią Parysem chcieliście ją zmusić.
W tej alternacie przyszła ona do mnie
I nalegała usilnemi prośby
O doradzenie jej jakiego środka,
Coby od tego powtórnego związku
Mógł ją uwolnić; w przeciwnym zaś razie
Chciała w mej celi życie sobie odjąć.
Dałem jej tedy, ufny w mojej sztuce,
Usypiające krople, których skutek
Bynajmniej mię nie zawiódł, bo jej nadał
Pozór umarłej. Napisałem przytem
List do Romea, wzywając go, aby
Dzisiejszej nocy, o tę porę, w której
Działanie owych kropel miało ustać,
Zszedł się tu ze mną, dla wyswobodzenia
Tej, co mu dała taki dowód wiary,
Z tymczasowego jej grobu. Traf zrządził,
Że brat Jan, który z listem był wysłany,
Nie mógł się z miasta wydostać i wczoraj
List ten mi zwrócił. O godzinie zatem
Na jej ocknienie ściśle naznaczonej
Sam pospieszyłem wyrwać ją z tych sklepień,
Chcąc ją następnie umieścić w mej celi,
Póki Romeo nie przybędzie; ale
Kiedym tu przyszedł (na niewiele minut
Przed jej zbudzeniem), już szlachetny Parys
Leżał bez duszy, i Romeo także.
Ona się budzi, jam się jął przekładać,
By poszła ze mną i to dopuszczenie
Nieba przyjęła z korną uległością;
Gdy wtem zgiełk nagły spłoszył mię od grobu,
A ona, głucha na moje namowy,
Rozpaczą zdjęta, pozostała w miejscu,
I, jak się zdaje, cios zadała sobie.
Oto jest wszystko, co wiem; o małżeństwie
Marta zaświadczy. Jeśli to nieszczęście
Choć najmniej z mojej nastąpiło winy,
Niech mój sędziwy wiek odpowie za to,
Na kilka godzin przed bliskim już kresem,
Wedle rygoru praw jak najsurowszych.

Książę. Jako mąż święty zawsze nam był znany.
Gdzie jest Romea sługa? Cóż on powie?

Baltazar. Zaniósłem panu wieść o śmierci Julii;
Wraz on wziął pocztę i z Mantui przybył
Prosto w to miejsce, do tego grobowca.
Ten list mi kazał rano oddać ojcu;
I, w grób wstępując zagroził mi śmiercią,
Jeśli nie pójde precz lub nazad wrócę.

Książę. Daj mi to pismo, przejrzę je.—A teraz,
Gdzie paż hrabiego, co wartę sprowadził?
Co twój pan, chłopcze, porabiał w tem miejscu?

Paż. Przyszedł kwiatami ubrać grób swej przyszelej;
Kazał mi stanąć zdala, com też zrobił;
Wtem ktoś ze światłem przyszedł grób otwierać,
I mój pan dobył szpady przeciw niemu;
Co zobaczywszy, pobiegłem po wartę.

Książę. List ten potwierdza słowa zakonnika,
Bieg ich miłości i Romea rozpacz.
Biedny młodzieniec pisze oprócz tego,
Że sobie kupił gdzieś u aptekarza
Trucizny, którą postanowił zażyć
W tym tu grobowcu, by umrzeć przy Julii.
Rzecz jasna! Gdzie są ci nieprzyjaciele?
Patrzcie, Monteki! Kapulecie! jaka

[91]

[92]

Chłosta spotyka wasze nienawiści,
Niebo obrało miłość za narzędzie
Zabicia pociech waszego żywota;
I ja za moje zbytne pobłażanie
Waszym niesnaskom straciłem dwóch krewnych.
Wszyscy jesteście ukarani.

Kapulet. Monteki, bracie mój, podaj mi rękę:
Niech to oprawą będzie dla mej córki;
Więcej nie mogę żądać.

Monteki. Lecz ja mogę
Więcej dać tobie nad to: każę bowiem
Posąg jej ulać ze szczerego złota,
By się nie znalazł szacowniejszy pomnik
Po wszystkie czasy istnienia Werony,
Jak ten, pamięci Julii poświęcony.

Kapulet. Tak i Romeo stanie przy swej żonie;
Dzieląc za życia, złączmy ich po zgonie.

Książę. Ponurą zgodę ranek ten skojarzył;
Słońce się z żalu w chmur zasłonę tuli,
Smutniejszej bowiem los jeszcze nie zdarzył,
Niż ta historia Romea i Julii.

(Wychodzą).

*** END OF THE PROJECT GUTENBERG EBOOK ROMEO I JULIA ***

Updated editions will replace the previous one—the old editions will be renamed.

Creating the works from print editions not protected by U.S. copyright law means that no one owns a United States copyright in these works, so the Foundation (and you!) can copy and distribute it in the United States without permission and without paying copyright royalties. Special rules, set forth in the General Terms of Use part of this license, apply to copying and distributing Project Gutenberg™ electronic works to protect the PROJECT GUTENBERG™ concept and trademark. Project Gutenberg is a registered trademark, and may not be used if you charge for an eBook, except by following the terms of the trademark license, including paying royalties for use of the Project Gutenberg trademark. If you do not charge anything for copies of this eBook, complying with the trademark license is very easy. You may use this eBook for nearly any purpose such as creation of derivative works, reports, performances and research. Project Gutenberg eBooks may be modified and printed and given away—you may do practically ANYTHING in the United States with eBooks not protected by U.S. copyright law. Redistribution is subject to the trademark license, especially commercial redistribution.

START: FULL LICENSE
THE FULL PROJECT GUTENBERG LICENSE
PLEASE READ THIS BEFORE YOU DISTRIBUTE OR USE THIS WORK

To protect the Project Gutenberg™ mission of promoting the free distribution of electronic works, by using or distributing this work (or any other work associated in any way with the phrase “Project Gutenberg”), you agree to comply with all the terms of the Full Project Gutenberg™ License available with this file or online at www.gutenberg.org/license.

Section 1. General Terms of Use and Redistributing Project Gutenberg™ electronic works

1.A. By reading or using any part of this Project Gutenberg™ electronic work, you indicate that you have read, understand, agree to and accept all the terms of this license and intellectual property (trademark/copyright) agreement. If you do not agree to abide by all the terms of this agreement, you must cease using and return or destroy all copies of Project Gutenberg™ electronic works in your possession. If you paid a fee for obtaining a copy of or access to a Project Gutenberg™ electronic work and you do not agree to be bound by the terms of this agreement, you may obtain a refund from the person or entity to whom you paid the fee as set forth in paragraph 1.E.8.

1.B. “Project Gutenberg” is a registered trademark. It may only be used on or associated in any way with an electronic work by people who agree to be bound by the terms of this agreement. There are a few things that you can do with most Project Gutenberg™ electronic works even without complying with the full terms of this agreement. See paragraph 1.C below. There are a lot of things you can do with Project Gutenberg™ electronic works if you follow the terms of this agreement and help preserve free future access to Project Gutenberg™ electronic works. See paragraph 1.E below.

1.C. The Project Gutenberg Literary Archive Foundation (“the Foundation” or PGLAF), owns a compilation copyright in the collection of Project Gutenberg™ electronic works. Nearly all the individual works in the collection are in the public domain in the United States. If an individual work is unprotected by copyright law in the United States and you are located in the United States, we do not claim a right to prevent you from copying, distributing, performing, displaying or creating derivative works based on the work as long as all references to Project Gutenberg are removed. Of course, we hope that you will support the Project Gutenberg™ mission of promoting free access to electronic works by freely sharing Project Gutenberg™ works in compliance with the terms of this agreement for keeping the Project Gutenberg™ name associated with the work. You can easily comply with the terms of this agreement by keeping this work in the same format with its attached full Project Gutenberg™ License when you share it without charge with others.

1.D. The copyright laws of the place where you are located also govern what you can do with this work. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of your country in addition to the terms of this agreement before downloading, copying, displaying, performing, distributing or creating derivative works based on this work or any other Project Gutenberg™ work. The Foundation makes no representations concerning the copyright status of any work in any country other than the United States.

1.E. Unless you have removed all references to Project Gutenberg:

1.E.1. The following sentence, with active links to, or other immediate access to, the full Project Gutenberg™ License must appear prominently whenever any copy of a Project Gutenberg™ work (any work on which the phrase “Project Gutenberg” appears, or with which the phrase “Project Gutenberg” is associated) is accessed, displayed, performed, viewed, copied or distributed:

This eBook is for the use of anyone anywhere in the United States and most other parts of the world at no cost and with almost no restrictions whatsoever. You may copy it, give it away or re-use it under the terms of the Project Gutenberg License included with this eBook or online at www.gutenberg.org. If you are not located in the United States, you will have to check the laws of the country where you are located before using this eBook.

1.E.2. If an individual Project Gutenberg™ electronic work is derived from texts not protected by U.S. copyright law (does not contain a notice indicating that it is posted with permission of the copyright holder), the work can be copied and distributed to anyone in the United States without paying any fees or charges. If you are redistributing or providing access to a work with the phrase “Project Gutenberg” associated with or appearing on the work, you must comply either with the requirements of paragraphs 1.E.1 through 1.E.7 or obtain permission for the use of the work and the Project Gutenberg™ trademark as set forth in paragraphs 1.E.8 or 1.E.9.

1.E.3. If an individual Project Gutenberg™ electronic work is posted with the permission of the copyright holder, your use and distribution must comply with both paragraphs 1.E.1 through 1.E.7 and any additional terms imposed by the copyright holder. Additional terms will be linked to the Project Gutenberg™ License for all works posted with the permission of the copyright holder found at the beginning of this work.

1.E.4. Do not unlink or detach or remove the full Project Gutenberg™ License terms from this work, or any files containing a part of this work or any other work associated with Project Gutenberg™.

1.E.5. Do not copy, display, perform, distribute or redistribute this electronic work, or any part of this electronic work, without prominently displaying the sentence set forth in paragraph 1.E.1 with active links or immediate access to the full terms of the Project Gutenberg™ License.

1.E.6. You may convert to and distribute this work in any binary, compressed, marked up, nonproprietary or proprietary form, including any word processing or hypertext form. However, if you provide access to or distribute copies of a Project Gutenberg™ work in a format other than “Plain Vanilla ASCII” or other format used in the official version posted on the official Project Gutenberg™ website (www.gutenberg.org), you must, at no additional cost, fee or expense to the user, provide a copy, a means of exporting a copy, or a means of obtaining a copy upon request, of the work in its original “Plain Vanilla ASCII” or other form. Any alternate format must include the full Project Gutenberg™ License as specified in paragraph 1.E.1.

1.E.7. Do not charge a fee for access to, viewing, displaying, performing, copying or distributing any Project Gutenberg™ works unless you comply with paragraph 1.E.8 or 1.E.9.

1.E.8. You may charge a reasonable fee for copies of or providing access to or distributing Project Gutenberg™ electronic works provided that:

- You pay a royalty fee of 20% of the gross profits you derive from the use of Project Gutenberg™ works calculated using the method you already use to calculate your applicable taxes. The fee is owed to the owner of the Project Gutenberg™ trademark, but he has agreed to donate royalties under this paragraph to the Project Gutenberg Literary Archive Foundation. Royalty payments must be paid within 60 days following each date on which you prepare (or are legally required to prepare) your periodic tax returns. Royalty payments should be clearly marked as such and sent to the Project Gutenberg Literary Archive Foundation at the address specified in Section 4, "Information about donations to the Project Gutenberg Literary Archive Foundation."
- You provide a full refund of any money paid by a user who notifies you in writing (or by e-mail) within 30 days of receipt that s/he does not agree to the terms of the full Project Gutenberg™ License. You must require such a user to return or destroy all copies of the works possessed in a physical medium and discontinue all use of and all access to other copies of Project Gutenberg™ works.
- You provide, in accordance with paragraph 1.F.3, a full refund of any money paid for a work or a replacement copy, if a defect in the electronic work is discovered and reported to you within 90 days of receipt of the work.
- You comply with all other terms of this agreement for free distribution of Project Gutenberg™ works.

1.E.9. If you wish to charge a fee or distribute a Project Gutenberg™ electronic work or group of works on different terms than are set forth in this agreement, you must obtain permission in writing from the Project Gutenberg Literary Archive Foundation, the manager of the Project Gutenberg™ trademark. Contact the Foundation as set forth in Section 3 below.

1.F.

1.F.1. Project Gutenberg volunteers and employees expend considerable effort to identify, do copyright research on, transcribe and proofread works not protected by U.S. copyright law in creating the Project Gutenberg™ collection. Despite these efforts, Project Gutenberg™ electronic works, and the medium on which they may be stored, may contain "Defects," such as, but not limited to, incomplete, inaccurate or corrupt data, transcription errors, a copyright or other intellectual property infringement, a defective or damaged disk or other medium, a computer virus, or computer codes that damage or cannot be read by your equipment.

1.F.2. LIMITED WARRANTY, DISCLAIMER OF DAMAGES - Except for the "Right of Replacement or Refund" described in paragraph 1.F.3, the Project Gutenberg Literary Archive Foundation, the owner of the Project Gutenberg™ trademark, and any other party distributing a Project Gutenberg™ electronic work under this agreement, disclaim all liability to you for damages, costs and expenses, including legal fees. YOU AGREE THAT YOU HAVE NO REMEDIES FOR NEGLIGENCE, STRICT LIABILITY, BREACH OF WARRANTY OR BREACH OF CONTRACT EXCEPT THOSE PROVIDED IN PARAGRAPH 1.F.3. YOU AGREE THAT THE FOUNDATION, THE TRADEMARK OWNER, AND ANY DISTRIBUTOR UNDER THIS AGREEMENT WILL NOT BE LIABLE TO YOU FOR ACTUAL, DIRECT, INDIRECT, CONSEQUENTIAL, PUNITIVE OR INCIDENTAL DAMAGES EVEN IF YOU GIVE NOTICE OF THE POSSIBILITY OF SUCH DAMAGE.

1.F.3. LIMITED RIGHT OF REPLACEMENT OR REFUND - If you discover a defect in this electronic work within 90 days of receiving it, you can receive a refund of the money (if any) you paid for it by sending a written explanation to the person you received the work from. If you received the work on a physical medium, you must return the medium with your written explanation. The person or entity that provided you with the defective work may elect to provide a replacement copy in lieu of a refund. If you received the work electronically, the person or entity providing it to you may choose to give you a second opportunity to receive the work electronically in lieu of a refund. If the second copy is also defective, you may demand a refund in writing without further opportunities to fix the problem.

1.F.4. Except for the limited right of replacement or refund set forth in paragraph 1.F.3, this work is provided to you 'AS-IS', WITH NO OTHER WARRANTIES OF ANY KIND, EXPRESS OR IMPLIED, INCLUDING BUT NOT LIMITED TO WARRANTIES OF MERCHANTABILITY OR FITNESS FOR ANY PURPOSE.

1.F.5. Some states do not allow disclaimers of certain implied warranties or the exclusion or limitation of certain types of damages. If any disclaimer or limitation set forth in this agreement violates the law of the state applicable to this agreement, the agreement shall be interpreted to make the maximum disclaimer or limitation permitted by the applicable state law. The invalidity or unenforceability of any provision of this agreement shall not void the remaining provisions.

1.F.6. INDEMNITY - You agree to indemnify and hold the Foundation, the trademark owner, any agent or employee of the Foundation, anyone providing copies of Project Gutenberg™

electronic works in accordance with this agreement, and any volunteers associated with the production, promotion and distribution of Project Gutenberg™ electronic works, harmless from all liability, costs and expenses, including legal fees, that arise directly or indirectly from any of the following which you do or cause to occur: (a) distribution of this or any Project Gutenberg™ work, (b) alteration, modification, or additions or deletions to any Project Gutenberg™ work, and (c) any Defect you cause.

Section 2. Information about the Mission of Project Gutenberg™

Project Gutenberg™ is synonymous with the free distribution of electronic works in formats readable by the widest variety of computers including obsolete, old, middle-aged and new computers. It exists because of the efforts of hundreds of volunteers and donations from people in all walks of life.

Volunteers and financial support to provide volunteers with the assistance they need are critical to reaching Project Gutenberg™'s goals and ensuring that the Project Gutenberg™ collection will remain freely available for generations to come. In 2001, the Project Gutenberg Literary Archive Foundation was created to provide a secure and permanent future for Project Gutenberg™ and future generations. To learn more about the Project Gutenberg Literary Archive Foundation and how your efforts and donations can help, see Sections 3 and 4 and the Foundation information page at www.gutenberg.org.

Section 3. Information about the Project Gutenberg Literary Archive Foundation

The Project Gutenberg Literary Archive Foundation is a non-profit 501(c)(3) educational corporation organized under the laws of the state of Mississippi and granted tax exempt status by the Internal Revenue Service. The Foundation's EIN or federal tax identification number is 64-6221541. Contributions to the Project Gutenberg Literary Archive Foundation are tax deductible to the full extent permitted by U.S. federal laws and your state's laws.

The Foundation's business office is located at 809 North 1500 West, Salt Lake City, UT 84116, (801) 596-1887. Email contact links and up to date contact information can be found at the Foundation's website and official page at www.gutenberg.org/contact

Section 4. Information about Donations to the Project Gutenberg Literary Archive Foundation

Project Gutenberg™ depends upon and cannot survive without widespread public support and donations to carry out its mission of increasing the number of public domain and licensed works that can be freely distributed in machine-readable form accessible by the widest array of equipment including outdated equipment. Many small donations (\$1 to \$5,000) are particularly important to maintaining tax exempt status with the IRS.

The Foundation is committed to complying with the laws regulating charities and charitable donations in all 50 states of the United States. Compliance requirements are not uniform and it takes a considerable effort, much paperwork and many fees to meet and keep up with these requirements. We do not solicit donations in locations where we have not received written confirmation of compliance. To SEND DONATIONS or determine the status of compliance for any particular state visit www.gutenberg.org/donate.

While we cannot and do not solicit contributions from states where we have not met the solicitation requirements, we know of no prohibition against accepting unsolicited donations from donors in such states who approach us with offers to donate.

International donations are gratefully accepted, but we cannot make any statements concerning tax treatment of donations received from outside the United States. U.S. laws alone swamp our small staff.

Please check the Project Gutenberg web pages for current donation methods and addresses. Donations are accepted in a number of other ways including checks, online payments and credit card donations. To donate, please visit: www.gutenberg.org/donate

Section 5. General Information About Project Gutenberg™ electronic works

Professor Michael S. Hart was the originator of the Project Gutenberg™ concept of a library of electronic works that could be freely shared with anyone. For forty years, he produced and distributed Project Gutenberg™ eBooks with only a loose network of volunteer support.

Project Gutenberg™ eBooks are often created from several printed editions, all of which are confirmed as not protected by copyright in the U.S. unless a copyright notice is included. Thus, we do not necessarily keep eBooks in compliance with any particular paper edition.

Most people start at our website which has the main PG search facility: www.gutenberg.org.

This website includes information about Project Gutenberg™, including how to make donations to the Project Gutenberg Literary Archive Foundation, how to help produce our new eBooks, and how to subscribe to our email newsletter to hear about new eBooks.